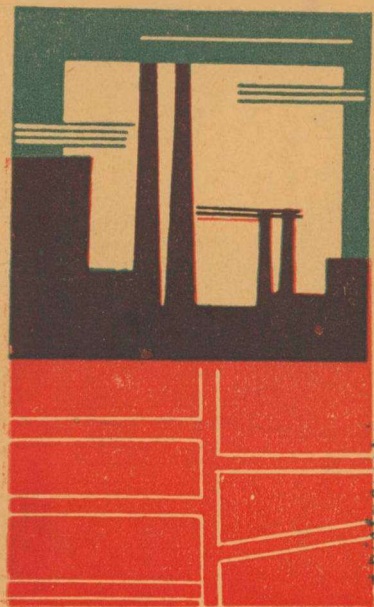


POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY
BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY

9

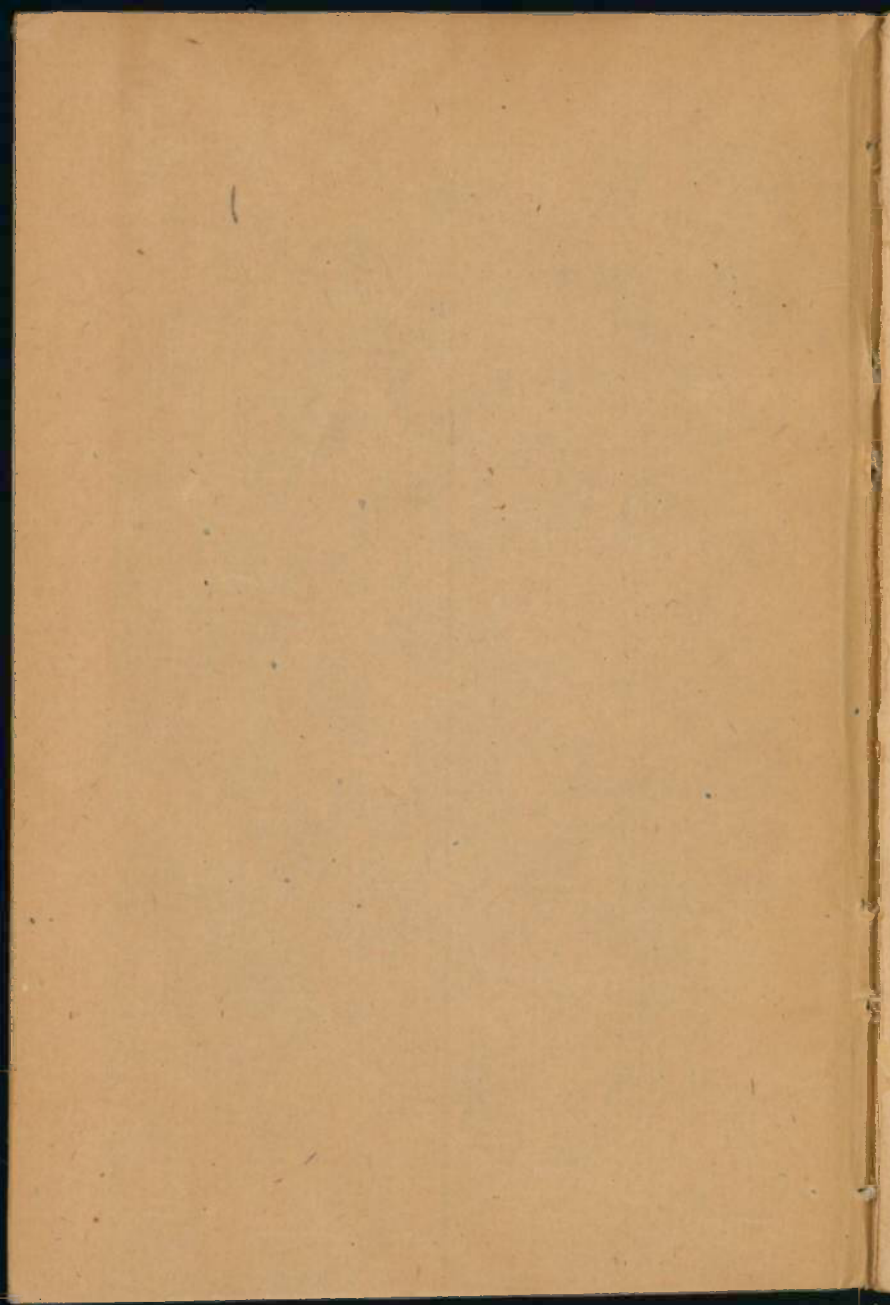
GUSTAW MORCINEK



1599

DZIEJE WĘGLA

GEBETHNER I WOLFF



200 149

DZIEJE WĘGLA

POLSKA I ŚWIAT WSPÓŁCZESNY
BIBLIOTEKA MŁODZIEŻY

GUSTAW MORCINEK

DZIEJE WĘGLA

WYDANIE DZIESIĄTE

4 ilustracje



NAKLAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA 1945.



557

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

WYDAWCA: GEBETHNER I WOLFF

Kraków, Rynek Gł. 23.

Nr. 29/45 — R. 1945.

Państw. Zakł. Graf. — Nowa Drukarnia Dziennikowa

Kraków, Orzeszkowej 7. Tel. 566-53.

M—03940

W POKŁADZIE JACKA

Wszystkie pokłady w kopalni Charlotty były grube, wysokie, szczodre w smolisty węgiel, tylko pokład Jacka był cienki i poprzerastany rozmiękłym piaskowcem.

We wszystkich pokładach kopalni Charlotty wybierano węgiel filarami, tylko w pokładzie Jacka kowano go ścianą.

Ściana była długa około 300 metrów i biegła nachylona od wschodu na zachód. Górnicy podbierali ją kilofami i maszynami - wrębiarkami, łupali zwalone ławice węgla ciężkimi młotami, a długie rynny, potrząsane pękatymi motorkami, wiodły urobek do podstawionych wagoników.

Jedni górnicy woleli pracować w tamtych, wysokich filarach, drudzy w niskich ścianach Jackowych.

— Jo już tam pozostanę do końca w filorze! — mawiali jedni.

— Jo zaś w swoim pokładzie Jacka! — odpowiadali drudzy.

— Lepiej pracować w filorze!

— Ni, lepiej u Jacka.

— We filorze więcej nakopię węgla.

— Być może. Ale we filorze prędzej kamień spadnie na człowieka, ni?...

— Hale, wszędzie kamień spadnie. I we filorze, i w twoim Jacku. Myślisz, że nie wszędzie jednako śmierć? Ta sama! Ale to jest tak. Kiedy we filorze wywiercę dziury w węglu, potem wiertarkę odciepnę a do dziur włożę sporo dynamitu, a potem kiedy lont zapalę karbidówką i skryję się do chodnika, a lont pali się i pali... pali... A potem kiedy nie strzeli jak pieron!... Człowiecze, powiadom ci, to jest uciecha!... W filorze leży ogromno kupa węgla!... Jeżeli odstrzał dobrze zerwie, to bywa tego rnia kilkanaście, ba — czasem na kilkadziesiąt wózków!... Jest z czego brać przez całą szychtę!... A u wus w ścianie Jackowej, fi!... Macie tam maszynę jak smoka, maszyna ryczy i charczy jak dziki osieł, wali tymi kikutami w calinę, pluje płynem, że ani na palec przed sobą nic nie widać, a kiedy w końcu przyjdzie klinami odłupać podebraną ławicę, to co?... Tyle tego spadnie na spong, jakby się ktoś wypluł i już po wszystkim. Załedwie na słoną wodę człowiek zarobi w takim pokładzie, a upracuje się jak stary koń. No ni?...

— Hale, hale!... Już mi wy tam nie powiecie!... — bronili się gornicy z pokładu Jacka. — A wiele wy tam drzewa zniszczycie w filorach, co?... Same sosny, proste a wysokie, żywicą woniejące, że się człowiekowi aż serce kraje na widok tyle drzewa, które wy niszcycie. A my se podbijemy tylko takie stemple, 1 metr 80 centymetrów długie, i wszystko w porządku, A grosz też jakiś zarobimy, ni?

Sprzeczali się jedni i drudzy pod szybem, kie-

dy na winde czekali, co ich na boży świat wywiezie miała; sprzeczekali się po drodze wracając ze szychty do domu, lecz nikt nie mógł drugiego przekonać. Każdy zresztą miał słuszność. I tu, i tam była jednokowa praca, i tu, i tam groziła człowiekowi ta sama śmierć, lub w najlepszym razie kalectwo. Strop bowiem, jak w każdej kopalni, rychło pękał z trzaskiem, tupał — jak mawiali górnicy, jakiś czas zapierał się w swych zazębieniach i na wiotkich stemplach sosnowych, posypywał miałem na głowy ludzkie, a kiedy przyszła jego chwila, spadał z rykiem na spong,

Ludzie umieli na czas uchylić się przed śmiercią, schronić w bezpieczny chodnik. Kiedy bowiem po kilku przeciągłych tąpnięciach nastawa w stropie cisza, a tylko drobny szept szeleścił w jego jądrze, na podniesione głowy jął zaś spadać rzadki miał — znak to był, że trzeba uciekać. Łada chwila bowiem, za jakiś drobny ułamek sekundy, runąć może powała. Rozpękna się stemple, wykręca, załamia i zestrzępią naciskane potwornym ciężarem, a równocześnie połupany strop zleci olbrzymimi blokami piaskowca.

Wtedy w nieszczęsnej komorze rozryczy się ogromna burza, łomot i zgrzyt kamieni zmiesza się z trzaskiem łamanych stempli, a wielki wichur praśnie w chodnik, gdzie ludzie pod ścianą przykuli, lampy zgasi, tumany pyłu wzbije, a czasem drzwi w chodnikach wywali.

W pokładzie Jacka było inaczej. Strop również tupał, na zgięte grzbiety górników, również sypał się miał ze stropu, lecz nie spadał znienacka jak w fila-

rach. On tylko siadał. Wzdłuż ściany węglowej powstawała w stropie zagmatwana rysa, a wtedy wszystkie stemple, ile ich tylko było, zaczynały stękać jak człowiek ogromnie znużony. Potem zrywało się ze wsząd krótkie, urywane strzelanie. To stemple pękały. Skręcały się jak szmaty, słoje ich rozdzierały się na białe strzępy, a żywica ciekła z nich stężalymi kroplami. Miały w sobie coś z umierającego stworzenia, które przed skonem płacze.

Wtedy ludzie nie uciekali, jak tanci w filarach, lecz podbiegali z nowymi stemplami. Stawiali je szybko, wspierali nimi obsuwający się strop, bili w nie młotami, śpieszyli się, uparci, o jednym tylko myślący: żeby uratować ścianę.

W Jackowej ścianie pod trzecią pochylnią pracował stary Szymiczek z kamratami. Dwóch z nich, najmłodszych, Wowra i Larysz, wrzucali łopatami ukopany węgiel w rynny, dwóch zaś krzątało się koło ogromnej, rozplaszczonej wrębiarki, która wgryzała się żelaznymi zębami w caliznę.

W Jackowej ścianie było ciasno. Białe stemple leciały rzędami w górę w szereg alei. Między nimi były tak zwane pola. Stemple w kilku pierwszych polach od calizny stały jeszcze krzepko, proste i równe, następne już, w miarę zbliżania się do wybranej przestrzeni, tkwiły w mrokach, połamane i skręcone pod naciskiem obwisłego stropu. W pierwszym polu, tuż koło calizny węglowej, pracowała wrębiarka. W następnym polu płożyla się długa rynna, zawieszona na linach u stropu i podrzucana motorkami. Rynnami posuwało się węgle do dale-

kiego upadu, do gospody, gdzie czekały próżne wagoniki.

Wrębiarka była podobna do ogromnego złotwia. W swoim wnętrzu miała mały bęben z nataczającą się liną. Koniec liny przymocowany był wysoko do odległego stempla. Jeżeli otworzyć wentyl ciężkiego węża gutaperkowego, w jądro wrębiarki chlusnęło z krzykiem zgęszczone powietrze. Wtedy rozmigotały się z boku czarne, ostre, stalowe zębce, bijące zaciekle w podstawę calizny węglowej, a równocześnie tamten bęben w środku maszyny jał się powoli obracać. Wówczas wrębiarka stawała się podobna do żywej poczwary, która jakąś wędkę połknęła a teraz połyka linę i wlecze się za nią coraz wyżej. A krzyki i szczeka przeraźliwie, że aż ludzie głuchną.

Stary Szymiczek stał nachylony i śledził jej pracę. Patrzył na ramieniska z kolcami, tonącymi coraz głębiej w węglu, podglądał jej ruchy, kierował krótkim sterem, sycił oliwą i spluwał. Ponad głową kopeił mały płomieniek karbidowej lampy.

Kamraci krzatali się z boku, uprzatali drogę maszynie, wbijali małe klocki w wykutą szczyrbę u spongu, podpierali podebraną ławę węgla, żeby się za wcześniej nie zwałała.

Porozumiewali się tylko znakami. Głos ludzki zakrzyczałaby bowiem maszyna. Lampy pełgały rudymi płomykami. W ich świetle błyskały spocone ciała, nagie do pasa, naprężyły się mięśnie, bielity zęby i białka ocz. Powietrze wlokło się nagrzane i przesycone swędem ludzkiego potu.

Maszyna podcięła już połowę odmierzonej ściany. Spojrzał Szymiczek na zegarek, czy czas na wytechnie-

nie. Szarpnął za skobel, maszyna zakrzuszyła się gwałtownie i stanęła.

Na ludzi spadła ogromna cisza. Była ona tak wielka, że dzwoniła w uszach jak wysoki, jedno-stajny, falujący jęk. Rozbite tumany węglowego pyłu rzedniały stopniowo, a światła rozjaśniały się coraz mocniej.

— Czemu rynny nie idą? — zapytał Szymiczek.

— Nie ma wózków w gospodzie.

— No to se trochę spoczniemy.

Przyniósł każdy kęs chleba z ubrania, co poni-żej na stemplach wisiały. Usiedli, gdzie było komu wygodniej. Rozłamali chleb czarnymi dłońmi i jęli go powoli miesić w ustach. Między zębami zgrzytały leciuchno drobinki węglowego pyłu, lecz potem ślina splukała je z zębów, pożuty chleb starła z dziąseł i podniebienia i pył przestał już zgrzytać.

Jedli powoli. Każdemu zdawało się, że z przełkniętym kęsem chleba przełyka równocześnie błogosławieństwo boże, co w kształcie słonecznego światła zamknęło się ongiś w ziarnach zboża.

— Dobry chlebiczek! — pomyślał głośno Szymiczek.

— Dobry! — przyświadczyli drudzy.

Naokoło była cisza. Już nie dzwoniła w uszach, jak wówczas, kiedy maszyna umilkła. Błąkały się w niej szepty ziemi i szepty ludzkiej pracy. Przez caliznę piaskowca sączyły się do nich odgłosy pracujących maszyn, odgłosy tak lekkie i wiotkie, że jedynie wyostrzony słuch górnika wyłowił je z szep-tów ziemi.

— Czy to w stropie szeptce, czy w węglu? — za-
pytał Kurzydło, co przestał jeść.

Ucichło mlaskanie. Każdy wyteżył słuch.

— W węglu! — rzekł po chwili Szymiczek.

— Toć w węglu!

— Może będzie się sypać, gdy maszyna podrabie
resztę ściany.

— Może!...

I znowu zaczęto miesić chleb w ustach.

W chwili takiego spoczynku, kiedy znużone ciało
syci się smakiem i treścią chleba, a z odprężonych
mięśni wycieka znużenie, myśli ludzkie idą samopas.
Oczy patrzą w mrok, a wówczas każdy widzi swoje
myśli, jakby to były żywe postaci.

...Szymiczków syn, Józek, skończy za dwa lata
prawo. Dużo kosztują jego studia. Lecz warto praco-
wać dla niego. Syn skończy uniwersytet, uzyska do-
ktorat, będzie panem. Ożeni się z bogatą panną, wy-
buduje piękną willę na przedmieściu, a wtedy dla
starego Szymiczka przeznaczy dwa słoneczne pokoje.
Szymiczek będzie wypoczywał po tyloletniej pracy.
Dobrze mu będzie. Takie haftowane pantofle sprawi
mu synowa, Józek zaś długą fajkę o bursztynowym
cybuchu. Szymiczek będzie palił fajkę, będzie sobie
pykał, niebieski dym pójdzie pod powałę, a stare
Szymiczkowe serce będzie szczęśliwe...

...Czy też żona Kurzydła sprzedała te kury na
targu? A dobrze by się stało, bo Jadwiżka chora na
suchoty, a mówił kamrat, że jest lekarstwo w aptecce
katowickiej na suchoty, tylko strasznie drogie. Ja-
kieś złoto czy coś. A potem lekarz, co by czynił za-
stryki Jadwiżce, to także drogi. Kury więc sprzeda,

sprzeda tego wieprzka, nie kupi butów, chociaż mu ich tak bardzo potrzeba, coś pieniędzy jeszcze dopyczy i wszystko wyłoży na lekarstwo ze złotem i na lekarza, co będzie czynił zastrzyki Jadwiźce. A wtedy Jadwiźka, roztomile dziecko, wyzdrowieje... wyzdrowieje... A jeżeli dzisiaj i jutro, i przez cały miesiąc będzie się darzyło przy pracy, zarobi większy grosz i dla zdrowia Jadwiźczyego odłoży...

Westchnął Kurzydło nieznacznie, kropla piołunu spadła mu w serce. Przypomniał sobie, że lekarz z Kasy Chorych potrząsał głową, gdy przedwczoraj badał Jadwiźkę.

— Umrze biedactwo!... — pomyślał i druga kropla piołunu kapła w jego serce.

...Pasierbkowe dzieci chciałyby do Rabki. Pójdą dzieciaszki, pójdą, jeżeli w tym miesiącu dobrze pójdzie w ścianie... Jeżeli maszyna dobrze będzie pracowała!... Haniczka chuda jak szczapa, Karliczek chudy jak szczapa, Hanysek chudy jak szczapa. — Słońca brak dzieciom! — prawił lekarz szkolny. — Kąpiele solankowe potrzebne!... — Tak powiedział lekarz. Skąd tu wziąć pieniędzy, żeby dzieci wysłać do Rabki? Komitet wysłał je w przeszłym roku, więc w tym już nie może. Inne muszą iść. Ale Pasierbkowe dzieci też muszą iść!... Bo inaczej zgaśnie w nich życie jak w lampce oliwnej, kiedy oliwy braknie. Żeby tylko węgiel dobrze puszczał!... Zarobiłby sporo pieniędzy i dzieci pojechałyby do Rabki!...

Pasierbek, drugi kamrat Szymiczka, jał w myślach liczyć, ile wagoników węgla będą musieli wspólnie nakopać, żeby zarobek starczył i na chleb, i na wysłanie dzieci do Rabki.

— Jeśli maszyna zawiedzie albo jeśli węgiel będzie twardy, nic z tego nie będzie!... — zafrasował się ciężko.

A obok niego na rynn timer siedzący Larysz pozbiierał już z umorusanej dłoni okruszyny chleba, zgniótł je w palcach w małą kulkę i zjadł. A potem się zamyslił jak jego kamraci.

— Mój Boże!... — Człowiek robi i robi, a nie może tyle zarobić, żeby kupić sobie rower. A rower tak bardzo by się przydał. Jeździłby na nim na wybieczki, jeździłby po odpustach i pomógłby ojcu roznieść listy po wsi. Wieś jest obszerna i długa, domy porozrzucone, a stare ojczysko musi się człapać z listami od jednego krańca wsi po drugi kraniec. Taka już listonoszowa dola. Wieczorami i w nocy narzeka, że go nogi boją, że mu puchną z przemęczenia. A gdyby był rower, wzięłby ojcową pocztę i w oka migu rozwiózłby po dalekiej wsi. Stare ojczysko byłoby rade!...

Roześmiał się ukradkiem.

— Cóż się śmiejesz? — zapytał Wowra.

— Eh, nic!

Zrozumiał Wowra, że kamrat snuł jakieś myśli i że się do nich uśmiecha. On by także się do swoich uśmiechał, ale boi się. Bo jeżeli w ciągu miesiąca mało nakopią węgla, jeżeli węgiel wciąż będzie taki twardy, że maszyna z trudem wygrzebie w nim szlamę na metr głęboką, to nic z tego nie będzie. Siostra pójdzie za miesiąc do bierzmowania a chciałby jej kupić zegarek. Cieszyłaby się Haniczka, ale cieszyła!... On by też się cieszył!... Ale jeżeli!...

— No kamraci, chwytajmy się roboty!... — rzeki stary Szymczek i wstał.

Rozkrzyczwała się znowu maszyna, rozszechkała przeraźliwie, tumany kurzu zasłoniły oczy. Światła zrudziały, a ciemność okrążyła ludzi i maszynę węższym kołem.

— Żeby tak znaleźć w bryle węgla grudkę złota!... — pomyślał jeszcze Wowra. — Byłby nie tylko zegarek dla siostry, ale i nowe ubranie dla mnie! Jej, żeby tak znaleźć grudkę złota!...

Splunął z niechęcią, bo wiedział, że w bryle węgla nie znajdzie grudki złota.

W ciągu godziny maszyna skończyła swą pracę. Na przestrzeni kilkunastu metrów szczyrzyła się głęboka szrama pod calizną węglową. Teraz tylko wybrać z niej klocki, wbić klin jeden i drugi między strop a caliznę, potem trzeci i czwarty, a ogromna ława węgla odłupie się i zwali na spong.

— Chryste Boże, żeby tylko jak najwięcej!... — myślał każdy.

Młoty jęły wbijać kliny. Utonął jeden w węglu, utonął drugi, calizną trzeszczy, lecz jeszcze nie puszczą. Dopiero za piątym klinem tąpnęło w niej krótko, potem gwałtownie zatrzeszczało i znienacka zwała się ogromnym rumowiskiem.

Obleciały oczy zdobycz.

— Mało spadło!... — pomyślał znów każdy.

Rozklekotały się rynny, rozgrzytały, a górnicy jęli tłuc młotami w ławicę węgla, kruszyć ją na kęsy. Larysz zaś i Wowra wrzucali je do rynny.

Kęsy węgla podskakiwały śmiesznie w rynnie, zsuwały się rytmicznie po wyświechtanej blasze,

zjeżdżały do upadu i z hurkotem słaćwały się do pod-
stawionych wagoników.

Ludzie śpieszyli się, by urobek sprzątnąć przed
końcem szychty.

Byli teraz podobni do żniwiarzy, którzy śpieszą
się, by snopy zboża sprzątnąć z pola, zanim noc za-
padnie.

Rozumieli, że z każdym kęsem węgla rośnie ich
zarobek. O jakąś tam drobniuchną część grosza.
Trzeba wiele, trzeba bardzo wiele tych kęsów, by
z tych drobniuchnych części grosza powstał złoty je-
den, drugi, trzeci; żeby starczyło zarobku dla wszyst-
kich. I dla kopaczy, i dla wozaczy, co wózki pchają
na główny przekop, i dla maszynisty, i dla wielu
innych robotników, a potem jeszcze dla urzędników,
co je zliczają za stołami, a potem jeszcze dla tych,
co są właścicielami kopalni.

Godziny mijały. Raz wraz rynny stawały nieru-
chomo, bo w gospodzie brakowało wagoników.
Wtedy Szyniczek z kamratami zżymali się, spluwali
ciężko, wymyślali między sobą na porządki, a swoje
gniewliwe słowa przegradzali gęsto pieronami.

Rychło jednak uciszali się, bo nowy pociąg próż-
nych wagoników nadjeżdżał do gospody, a rynny
znowu jeły się podrzucać.

Ostatnie resztki węgla zgarniali łopatami, osta-
tnie obłamki piaskowca odrzucali w zawalisko, gdy
Wowra schylił się szybko i porwał w garść bryłę
węgla. Poświecił, potarł o spodnie i znowu poświecił.

— Kamraci, co to?... — zawołał.

Nachyliły się głowy, spojrzwały ciekawe ~~coś~~.

W załomie bryły lśni gruda złota. Grudka prawdziwego złota.

— Popatrzcie się!... Złoto!... — woła Wowra.

Gruchnął ogromny śmiech.

— Ty trąbo!... To nie złoto!... — woła przez śmiech Pasierbek.

— A co?... Czy nie widzicie, że to złoto?...

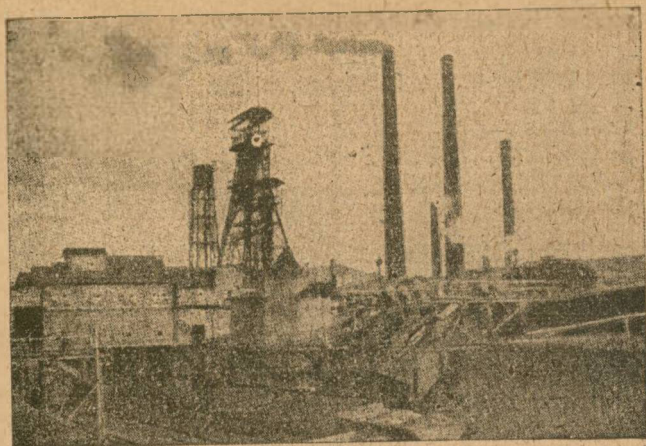
— Ale, Wowro, cóż ty pleciesz!... — śmieje się stary Szymiczek pobłaźliwie.

— Przecież widzicie!...

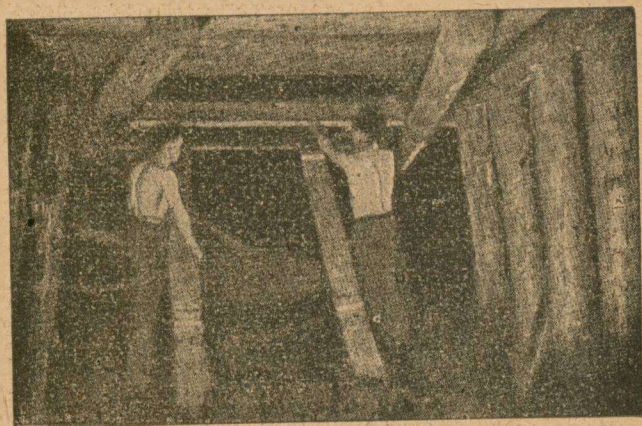
— Władzę, widzę, synku!... Ale nie złoto, ale zwykły piryt!...

— Ha, ha, ha!... Takim złotem za psami rzucają!... — pośmiewa się Kurzydło.

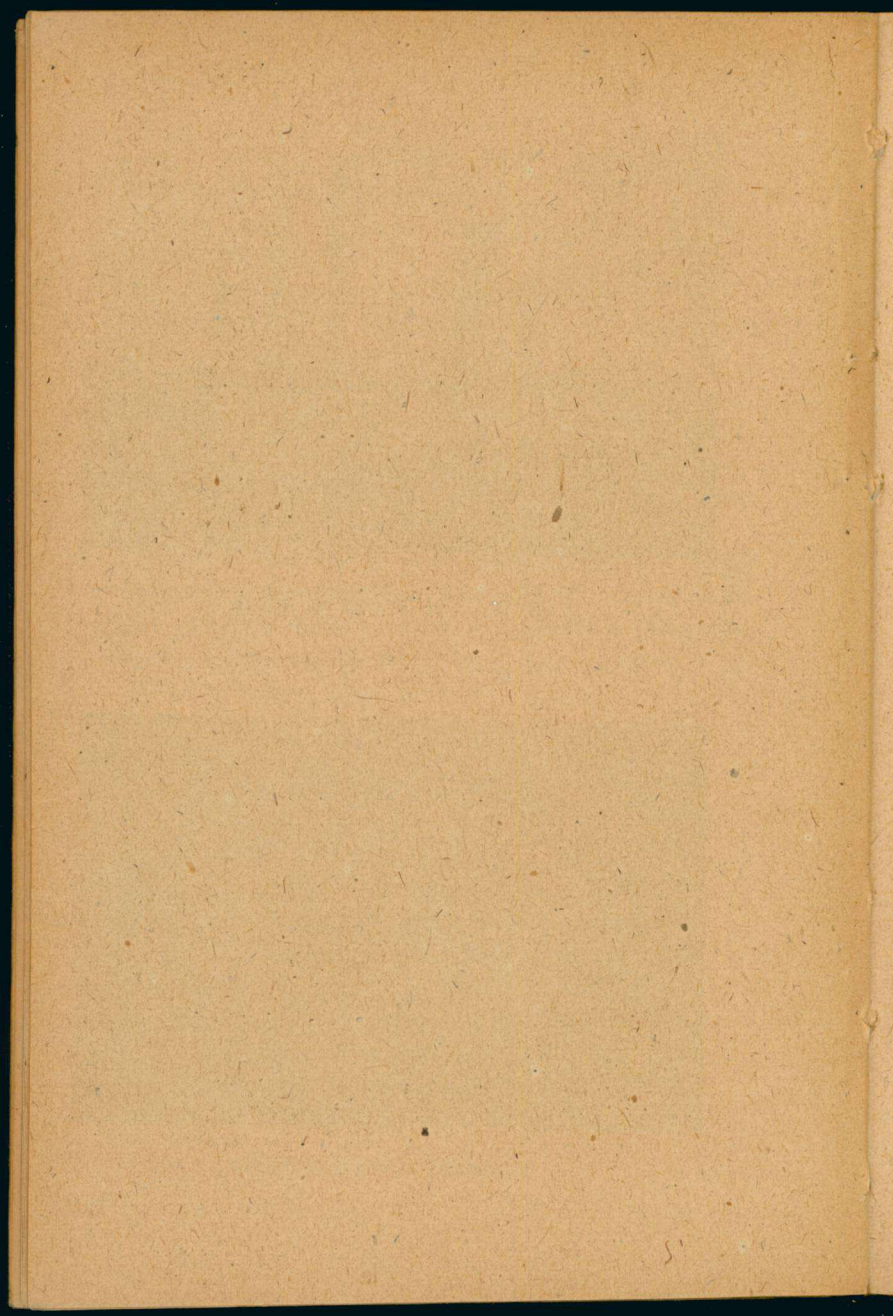
Wowra trzymał jeszcze chwilę bryłę węgla z pirytem, potem się skrzywił, splunął i wrzucił do rynny. Patrzył teraz z żalem, jak bryła z rzekomym złotem posuwa się skokami w rynnie, posuwa i posuwa, aż w końcu tonie w mroku upadu.



Ogólny widok kopalni węgla



W chodniku kopalni węgla



DROGA NA POWIERZCHNIĘ

W ganku była cisza.

W ganku musiała być cisza, bo ludzie byli daleko. I ci, co rąbali węgiel w przodku, i ci także, co mozolili się koło pochylni.

Kuczera siedział pod stemplem i czekał na wagoniki. Gdy usłyszy hurkot kołowrota na pochylni, znak to będzie, że wagoniki jadą. Jak długo ich nie ma, odpocznie godnie. Nogi boją, gdyż w ciągu szychły trzeba przebiec ganek kilkadziesiąt razy pchając przed sobą pełne wagoniki pod pochylnię, próżne zaś do przodu. Wprawdzie odpoczynek będzie uszczerbkiem dla zarobku, lecz kiedy nie ma rady. Widocznie zaszedł jakiś wypadek na przekopie lub w szybie, i stąd to czekanie. Mogły się wagoniki wykoleić, mogła się maszyna wyciągowa zepsuć, lub coś innego zajść. Któż to może wiedzieć?

W ganku była ogromna cisza. Dzwoniła w uszach jak daleki dzwon, słyszany przez gęstą mgłę. Kuczera wiedział, że to krew szumi w uszach, ale chętnie poddawał się złudzeniu, iż to daleki dzwon w gęstej mgle.

Kiedy grzebano na cmentarzu jego kamrata, Ze-

flika Góreckiego, którego wagoniki przygniotły do ściany i klatkę piersową załamały, i życie wydusiły — kiedy go grzebano w zeszły piątek, mały dzwon cmentarny również podobnie dzwonił. Wtedy deszcz siępił, niebo było niskie, powleczone chmurami i ociążałym dymem, cały świat zaś tonął w brudnej mgle. Mgła była tak gęsta, że na kilkanaście kroków wszystko w niej ginęło. Przez długi czas sączył się z niej żałobny marsz, grany z przejściem przez kapelę górniczą. Lecz potem tamta smężna muzyka oddalała się, aż w końcu całkiem roztopiła się we mgle. Okoliczne kopalnie tylko szumiały maszynami i wydechiwaną parą. To wszystko.

Kuczera stał na moście kopalnianym i słuchał. Wydawało mu się, że powinien dojrzeć trumnę swojego kamrata, wieszoną na karawanie. Przecież most był wysoki. Lecz niczego nie widział, prócz mgły i tych rozmazanych sylwetek zabudowań kopalni.

— No, chodź, już do windy, bo ostatnie zjeżdżają! — rzekł mu wtedy kulawy Lauko i pokuszył się do nadszybia.

Kuczera nie odpowiedział, lecz jeszcze patrzył w kierunku cmentarza. Żal mu było zjechać do kopalni pozostawiając kamrata na ziemi.

— Kiedy Zeflika... Boże mu tam daj radość wiekuistą, Amen!... kiedy Zeflika spuszcza do grobu, wtedy jo zjadę pod ziemię! — pomyślał i czekał nadal na moście.

Trzymał w dłoni zapaloną lampę. Płomyczek chwiał się leciuchno na wietrze.

— To za Zeflikową duszyczkę pali się lampa! — pomyślał znowu, a wtedy jakiś dziwny skurecz ułapił

go za gardło i z trudem przełknął łzę. Tak mu się przynajmniej zdawało, że to łza była.

Potem posłyszał tamten mały dzwon cmentarny. Głos jego był drobniuchny, wysoki, jęśliwy jak płacz małego dziecka.

— Teraz już dochodzą na cmentarz! — pomyślał i jeszcze nie odchodził.

— Kuczera!... Kuczera!... Bo ostatnio winda zjeżdża!...

Obejrzał się Kuczera, spojrzął w kierunku szybu. Dostrzegł kulawego Laukę. Stał w progu nadszybia i przyzywał go ręką.

— Już idę! — zawołał, wstał i poszedł powoli.

— Żoł ci Zeflika? — zapytał Lauko.

— Żoł!...

— No, no!... Poręczono Panu Bogu! Każdemu śmierć pisano. Dzisiaj mnie, jutro tobie!...

Kiedy Kuczera stał z kulawym Lauką w windzie, jeszcze słyszał tamten dzwon. Przekrzyczał go jazgotliwy sygnał windy, a potem winda podniosła się i utonęła w szybie. Kiedy już spadała wzdłuż żelaznych ocembrowań szybowych, zdawało mu się, że dzwon odezwał się głośniejsze i ucichł.

— Zeflika spuszcza ją do grobu! — mruknął z ulgą.

— Co mówisz?

— Eh, nic!...

Czarny wichur wpychał się do spadającej windy, szumiał jak ogromna woda, a z głębi szybowej studni dobiegało zbliżające się mlaskanie wody. A kiedy czarna woda bryzła w windę i oblała Kuczerę po

twarży, wzdrygnął się i już nie myślał o kamracie Zefliku.

Teraz znowu myśli o nim, bo w ganku dzwoni cisza, jak tamten daleki dzwon cementarny, słyszany przez gęstą mgłę.

Zaturkotały znienacka wagoniki. Daleki hurkot posypał się w ganku jak stłumiony, metaliczny grzmot.

— No, chwała Bogu!... Jada!... — westchnął z ulgą.

Jął się na nowo pracy. Spod pochylni odepchnął cztery wagoniki, zaparł się mocno plecami, a kiedy ruszyły, naciskane ramionami, zapomniał o wszystkim, co było poza jego pracą. Wszystkie myśli skupiły się w pragnieniu, by jak najprędzej dopchać wagoniki do przodku pod rynnę, odwieźć pełne pod pochylnię, potem znowu z próżnymi szybko biec do przodku, i tak bez przerwy śpieszyć się aż do końca szychty. Od ilości napełnionych i pod pochylnię odwiezionych wagoników zależna była wysokość jego zarobku.

Czas mijał. W ganku przetaczały się teraz zbełtane echa turkoczających wagoników, szezękały łańcuchy, dzwoniły koła, a Kuczerowe płuca dyszały z utrudzenia, pot zalewał oczy, ściekał czarnymi strużkami po nagim grzbiecie i piersiach, światło kołysało się szeroko i gonilo za wagonikami, a po stemplach migotały szybkie, połamane cienie.

Ostatni wózek podsunął pod rozklekotaną rynnę, ostatni urobek zsypywał się z łoskotem, Kęsy węgla spadały z wysoka i bębniły po żelaznych ścianach,

gęsty pył klebił się nad otworem, zalepiał oczy i łaskotał w gardle.

— No, chwala Bogu!... — rzekł Kuczera, kiedy pracę skończył.

Podniósł lampę, wyrównał dłonią zjeżone kęsy węgla i wlewy dojrzał tamtą bryłę węgla z pirytem.

— Czyżby złoto? — zdumiał się głośno.

— Hale złoto!... Już Wowra myślał, że to złoto. Piryt a nie więcej. Zwykły piryt!...

Kuczera teraz dopiero zauważył starego Szymiczka, wychylającego się spomiędzy stempli. Trochę się zawstydził.

— No, nie ma się czego wstydzić. Piryt jest w naszym węglu rzadki, to niejeden myśli, że to prawdziwe złoto! — dodał Szymiczek. — Dla nas, górników, złotem jest sam węgiel, ni?

— A raczej chlebem! — dorzucił Pasierbek. — stał za stemplem.

— Dobrześ powiedział, Węgiel jest naszym chlebem!... No, ale ty, Kuczera... ten wózek, to ostatni?

— Ostatni!

— Musisz go jeszcze dzisiaj dostarczyć pod szyb. Jutro niedziela, więc lepiej, że go dzisiaj wyciągną na wierzch.

Kuczera zaparł się w wagonik i pojechał pod pochylnię. Kamraci ze ściany szli powoli za nim. Pod pochylnią spiął go z dwoma innymi wagonikami, zaplął do liny, pociągnął za drut. Gdzieś w gorze pochylni zajazgotał trzykrotnie zardzewiały dzwonek. Lina szarpnęła się, naprężyła, wagoniki ruszyły i jęły się powoli wynosić po stromej pochylni.

Kuczera pobiegł chodnikiem wiatrowym. Przez

grubą ścianę węgla słyszał wyraźnie stukot wagoników i rżenie zgęszczonego powietrza, mocującego się ız łokami kołowrotu.

Zdyszany stanął u szczytu pochylni. W zakratowanej niszy toczył się pękaty bęben i buchały białe, mroźne kłęby rozprężonego powietrza. W głębi dojrzał skupioną twarz maszynisty. Patrzył za wyprężonymi linami. W nikłym świetle karbidówki, zawieszanej pod stropem, wypatrywał wagoników w pochylni. Gdy się wynurzy z mroków, zwolni bieg kołowrotu, potem je ostrożnie podciągnie na rozjazdowe płyty, opuści barierę i robota skończona.

Liny dygotały. Jedna sunęła do upadu, druga bardziej napięta i dygocąca, nawijała się na bęben. Kołowrot charczał z wysiłku, sapał i mordował się z ciężarem. W rurach, wlokących się pod stropem, dzwoniło jednostajnie. Spod kołowrotu, z obu jego stron, dmuchały syczące strugi powietrza, szron pokrywał płyty i kratę.

Kuczera nachylił się i chłodził spoconą twarz. Powietrze pachniało słońcem i smarami.

Wytoczyły się wagoniki przed kołowrót, stanęły na płytach. Kuczera odpiął linę, wykręcił je i zepchnął na boczny tor.

— Teraz się ubiorę, a potem wózki zacisnę na przekop! — rzekł do maszynisty.

— Nie, lepiej zaraz je tam zacisnij, bo lokomotywka może uciec! — poradził usmarowany maszynista.

— To mi pomóście!

Maszynista pomógł. Kroczyli obok siebie, ramię

w ramię, nisko schyleni, zaparci ramionami w ostatni wagonik. Przed nimi toczyły się cztery inne.

Na przekopie czekała jeszcze lokomotywka. Mała, długa, z jednym wytrzeszczonym światłem na przodzie. Siedział na niej umorusany pacholik i świstał.

— No, Szeruda!... Ostatnie wozy!... Zaprzęgaj a grzmij z nimi pod szyb!

Pacholik, nazwany Szerudą, zeskoczył z lokomotywki, pospinał wagoniki łańcuchami, cofnął do tyłu, przyłączył resztę pociągu i pojechał.

Posypały się błękitne iskry z przewodów elektrycznych rozpiętych pod stropem. Sunął po nich metalowy drążek lokomotywki, a długi pociąg gnał szybko za nią, turkotał i grzmiał w przekopie spiętrzonego łoskotem.

Kuczera stał z boku i patrzył na wagoniki. Migły przed nim rudymi, zardzewiałymi ścianami. Przez małą drobinę czasu błysnęła w świetle grudka pirytu na ostatnim wagoniku.

— Gdyby to było złoto... — westchnął ukradkiem.

Wrócił do kołowrotu, ubrał się i siadł na ławie.

— Ile mamy? — zapytał maszynistę.

— Hm, niewiele. Trzy złote zarobiłem i kilka groszy. A ty?

— Zaraz policzę!... Sześćdziesiąt dwa wozy na trzeciej pochylni od Szymiczka, dwadzieścia osiem na czwartej pochylni od Donocika... Razem dziewięćdziesiąt wozów!... Jeden wóz po trzy grosze. To jest... to jest...

— ...dwa złote siedemdziesiąt!... — wyliczył szybko maszynista.

— Przynajmniej na ten suchy chleb wystarczy!... — pocieszył się głośno Kuczera.

Nastąpiła cisza, bo obydwaj jęli myśleć, dlaczego ten węgiel daje tak mało chleba. Lecz nie skończyli, bo rychło nadeszli górnicy ze ściany spod trzeciej i czwartej pochylni i wszyscy ruszyli pod szyb.

Szli gęsiego. Choźnik wypełnił się stukotem podkutyh butów, gwarem twardej mowy, zapachem potu i żutego tytoniu, i licznymi cieniami, skaczącymi po stemplach. Rude światelka kołysały się koło nóg. Wyszli na przekop, stanęli pod ścianą, bo nadjeżdżała druga lokomotywka z długimi wagonikami. Krzyczała na nich dzwonkiem i ślepiła ich wytrzeszczonym światłem.

Kiedy stanęła, usiedli w wagonikach, podobnych do niskich wagonów tramwajowych, lokomotywka zadzwoniła i ruszyła. Mijali boczne ganki, mijali próżne pociągi na bocznym torze, czasem przekop czerniał w osmalonym piaskowcu, czasem rozbielił się rzędami stempli, powleczonymi wapnem, potem wpadali pod murowane sklepienie. Siedzieli skurczeni na ławeczkach i odpoczywali. Wszyscy myśleli o skończonej pracy i o tym, co ich czeka na powierzchni.

Pod szybem zmieszali się z tłumem innych górników, co przybyli ze wszystkich stron kopalni.

Pod sklepionym stropem jarzyły się duże lampy elektryczne. W ich światło zamieniały się płomyczki karbidówek w drobne robaczki świętojańskie. Ludzkie twarze o ostrych, kanciastych rysach, umorusane i pomięte w zmarszczki, czyniły wrażenie, że to twa-

rze, wyciosane niezdarnie tępym dłutem. Były spokojne i surowe. Jedyne oczy gorzały siwymi ognikami. Czaiły się w nich zawziętość i wola.

Stokrotny gwar bełkotał twardymi zgłoskami, kłębił się na kształt gęstego roju pszczół. Wszyscy górnicy mówili o tym, co było najbliższe ich sercu. O swojej pracy, o węglu, czy dobrze puszczał, czy darzyło się, czy sporo wagoników nakopano. Liczyli, sprzecali się, przymawiali, wspominali chwile, w których śmierć stała tuż nad człowiekiem, radowali się na wypłatę zarobku.

— Kuczera, a bardzo ci żal? — zapytał ktoś z gromady.

Spojrzeli wszyscy naokoło, umilkli, bo wiedzieli, że to mowa o Zefliku Góreckim. Zasepiły się nieco twarze, skupiły harde spojrzenia.

— Też się tak pytacie? — mruknął Kuczera.

Oparł się o wagonik. Poznał go. Na wierzchu leżała sztorcem bryła węgla z grudką pirytu.

— Ostatni wóz to był! — rzekł po chwili. — Tak, jak ten oto... Wóz gnał z kępki, Zeflik chciał go przedbiec, podłożył kłocem... bo z bocznego ganku wychodził Jurak ze stemplami. Wóz byłby do niego prasnął i zabił... Chciał Zeflik wóz zahamować, lecz nie udało się...

— No i co?...

— Wóz wyskoczył z szyn, przechylił się na czoło i przygniótł sobą Zeflika... I już było po wszystkim!...

— No, no... poręczono Panu Bogu!... Dzisiaj mnie śmierć pisano, jutro tobie!...

Ostatnia winda zjechała po wagoniki. Potem już będzie ludzi wydobywać. Winda była trzypiętrowa. Sześć wagoników wepchnięto do niej, ostatni zaś był z tamtym kęsem węgla, co miał w sobie grudkę pirytu wrośniętą.

Zakrzyczały trzy razy sygnały, winda poleciała z szumem na powierzchnię.

ZAWZIĘTE MASZYNY

Niedaleko szybu czerniła się sortownia.

Szyb był nakryty wysoką wieżą nieforemną, uczynioną ze splecionych sztab żelaznych. Na jej szczycie toczyły się w cichości dwa ogromne koła, a na kołach sunęły liny. Jednym końcem spadały do szybu, drugim spływały skośnym rzutem do hali maszynowej. Przez kwadratowe dziury w ścianie bie-gły do wnętrza i nawijały się, i odwijały z ogromnego bębna. Z boków bębna sterczały potworne ramieniska, trzymające w stalowej, zaciśniętej dłoni głowice osi. Ramieniska wysuwały się z grubych, nadętych cylindrów żelaznych.

Za cylindrami stał mały człowieczek i patrzył na różne wskazówki, skaczące po czerwonych i białych tarczach. W dłoni trzymał stery. Poruszał nimi nieznacznie zawsze czekając na podwójny krzyk sygnałów. Wtedy w cylindry wstępowało życie.

Maszyna czyniła wrażenie śpiącego człowieka, który ma niespokojny sen. Budzi się co chwila i wtedy wyciąga przed siebie ramiona i kurczy je na przemian. Najpierw powoli, potem szybciej, potem jeszcze

szybciej, a gdy już wystarczy, znów powoli ucicha. Podczas pracy para rzeźbiła w cylindrach jak powietrze w płucach, co je był pył węglowy zżarł doszczętnie. Gdy maszyna spoczęła, znów stawała się podobna do człowieka, co ogromnie znużony legł nie dbale na kamiennej podłodze i oddycha ciężko. To para w cylindrach dyszała.

Mały człowieczek za cylindrami podobny był również do maszyny. Do takiej maleńkiej maszyny. Oczy tylko gorzały, wytrzeszczone czujnie i wpatrzone uparcie we wskazówki cudaczných zegarów. Koło niego błąkał się śwąd rozgrzanej oliwy. Potem zakrzyrzały dwoiste sygnały. Mały człowieczek w czarnym kaszkiecie szarpnął ster jeden, pchnął mocno drugi, a wtedy w maszynę wlewało się życie. Wysoko ponad głową, nad żelaznym wiązaniem dachu, dudniła para, olbrzymi bęben zaczynał się toczyć coraz szybciej, a ogromne, stalowe ramieniska jęły się kolebać, wyrzucały gwałtownie swoimi kikutami, łyskały w przerzedzonym słońcu jak kłanice niesamowitej bestii, a podłoga drgała.

Kiedy maszyna rozpędzała się do ostatnich granic, wtedy mały człowieczek w czarnym kaszkiecie zamieniał się w istotę, czając się drapieżnie na wroga. Nachylał głowę, garbił plecy, zaciskał utłuszczone dłonie koło sterów i patrzył w migotliwe wskazówki na białych i czerwonych tarczach. Zadzwońiło raz — podciągał lewy ster do siebie. Maszyna jęła zwalniać. Zadzwońiło drugi raz — podciągał ster jeszcze mocniej, a ramieniska kolebały się coraz wolniej. A kiedy po raz trzeci zakrzyrzał dzwonek, krótko i groźnie — mały człowieczek prze-

rzucał szybko stery, a maszyna stawała z westchnieniem.

Opodał czerniła się sortownia.

Z otwartych wrót wywalał się na świat spiętrzony zgiełk licznych, zawziętych maszyn. Zgrzytały walce, dudniły wagoniki, piszczały osie, skowyczary rozcierane płyty stalowe, a zawzięte maszyny mordowały się z ciężarem, chrapały z wysiłku i stękały boleśnie. Wraz z ich zgiełkiem buchały z drzwi czarne tumany węglowego pyłu. Przylatywał wiatr, nasycony śwędem gorejących hałd, i roznosił tamte tumany po świetle.

Długi, wysoki most łączył szyb z sortownią.

Most wspierał się na wiotkim rusztowaniu ze stalowej kraty, kołysał się nieznacznie, a po moście toczyły się wagoniki, wleczone łańcuchami.

Wagoniki wtaczały się leniwie w halę, dochodziły do ramion ludzkich, a ramiona ludzkie pchały je na wywroty, przewalały do góry kołami, a węgiel spadał na ruchome rusztowania.

Kęsy węgla zsuwały się po rusztach, podrzucane bez przerwy, zjeżdżały w czarne doliny, wędrowały utartymi koleinami stalowymi, po drodze przesiewały się i przepadały w coraz większych otworach. Zanim zawartość wagonika, rozsypana w szeroką, spiętrzoną strugę, dotarła na odległy kraniec ruchomej podłogi rusztowej, nikła i przeciekała szczelinami jak prawdziwa woda. Coraz większe kęsy zlatywały w czarną rozkrzyczaną czeluść. U granicy pozostały największe bryły, tak duże, że człowiek z trudem by je podniósł oburącz.

Pod rusztami przetaczały się stalowe ścieżki,

schodzące w dolinę. Po obu ich stronach stali chłopcy i kobiety, wpatrzone w przesuwający się węgiel. Co raz nachylali się szybko i wyławiali z niego drobne odłamki piaskowca lub kęsy węgla, przerośnięte warstewkami kamienia.

Jeżeli patrzeć na nich z góry, byli podobni do małych, czarnych, ruchliwych maszyn, spełniających odmierzoną pracę. Tułów ich chwiały się na rozstawionych nogach, głowa i ramiona schylały się i podnosiły jednostajnie, a czarne ramiona śmigały wśród pyłu i kurczyły się zakreślając zawsze jednakowy wycinek koła. Jeżeli ktoś z tamtych drobnych ludzi podnosił głowę i coś wołał, wtedy można było dojrzeć białka oczu, wyblaskujące z czarnej twarzy, i biały rząd zębów w ciemnej czerwieni rozwartych ust.

Młoda Kozubowa stała przy ostatnim ruszku. Po drugiej stronie wspierał się łądzwiami o poręcz zgarbiony Krzystek, co mu nogę kamienie przetrąciły w filarze. Dwie pary oczu i dwie pary rąk wystarczyły, by wyłowić kamień z węgla.

Kozubowa i Krzystek patrzyli pilnie w sunącą miedzę żelazną. Mijały ich kęsy węgla, a każdy kęs obleciało ich spojrzenie, czy się nie ukrywa za nim kamień. Gdy go dojrzały, wysuwały się zakrzywione palce, ułapiły skwapliwie i odrzucały poza siebie w podstawiony wagonik.

Naokoło krzyczały maszyny, zgrzytały płyty żelazne, kłębił się ogromny łoskot, oni zaś nic nie słyszeli prócz własnych myśli. Albowiem myśli ich snuły się w tamtym zgiełku jak cisi ludzie, mówiący

do siebie szeptem. Trzeba było więc skupić się mocno, by je nie tylko widzieć, ale i słyszeć. ?

Kozubowa myślała o wszystkim, co w domu zostało.

Mała Maryjka z pewnością pasie teraz chudą kozę na Kabusowym łągu pod lasem. Żeby tylko uważała, by koza nie weszła w ziemniaki! Przyszłoby stary Waniek i zabralby kozę. Maryjka jednak jest sprytna. Jeżeliby skąpy Waniek zabrał kozę, wystarczyłoby pobiec naprzód kilka kroków i nie zwalnając biegu zawołać: — Mica, auto!... Mica auto!... — Wtedy koza wyrwałaby się ze starych, zakrzywionych paluchów dusigrosza Wańka i z bekiem gnałaby za uszczęśliwioną Maryjką.

A co też robi Hanysek? Ho, ho!... Hanysek na pewno siedzi teraz na hałdzie i zbiera odpadki węgla. Hałda pali się u dołu i kopci szkaradnie, że aż dech zatyka. Rzadki, niebieskawy dym bije z hałdy, toczy się po stoku, sięga wysoko pod niebo. Ludzie wędzą się w nim i krztuszą, ale nie odchodzą, bo między rumowiskiem można znaleźć bryłki czystego węgla. Hanysek ma przewieszoną na karku obszerną zapa-skę, uczynioną z worka, i zbiera do niej węgle. Jeżeli się darzy, jeżeli Tacina i Bujok przywiozą sporo rumowiska w wagonikach, wtedy i węglowanie może być obfitsze. Jeżeli Hanysek wytrzyma w dymie do południa, nazbiera spore brzemię węgla. Ale jeżeli wytrzyma. Bo czasem nie wytrzyma. Głowa go rozboli, a wtedy schodzi jak pijany pod hałdę i wymiotuje. A potem wraca po próżno do domu i zatacza się wciąż jak pijany. Wtedy czad go zamroczył.

Przesuwają się kęsy węgla i przesuwają, a każdy

kęs omota na drobną chwilkę znużone spojrzenie Kozubowej. Żeby tych kęsów było jak najwięcej i żeby przesuwały się przed nią jak najdłużej. Bo wtedy może być większy zarobek. Przyjdzie taki dzień, że na drobną, chudą, spracowaną dłoń wysypią się srebrne krążki monety. Tyle a tyle złotych zarobku. Rozłoży skąpą gromadkę monet na stole i palcem będzie liczyła. Za tyle kupi dzieciom przyodziewę, za tyle znów sobie, to pójdzie za mieszkanie, reszta zaś na chleb, fasolę, mleko, ziemniaki i drobinę mięsa. Może wystarczy do następnej wypłaty. A jeżeli nie wystarczy, trzeba będzie mniej jeść. Dzieci nie, ale ona. Dzieci muszą jeść, ale ona wytrzyma jakoś...

Krzystek z przetrąconą nogą patrzy również na kęsy węgla, a równocześnie patrzy w swoje myśli. Idą one jak ludzie za trumną.

Synek Leuś nie wrócił przed rokiem żywy z kopalni. Wywieźli mu go dobrzy ludzie na wagoniku. Leuś leżał na wznak jak śpiący. Z rozbitej głowy, spod czarnych, gęstych włosów sączyła się jeszcze gruba nitka krwi. Jarzyła się w słońcu rdzawą czerwienią. Prawa dłoń leżała na piersi, lewą była skurczona i zaciśnięta. Spomiędzy palców wystykały kamyki, które kostniejącymi palcami zgarnął ze spongu...

Zawzięte maszyny nie ustają w pracy. Ryczą naokoło i wyją jak opętane. Radują się, bestie, z tamtego wszystkiego, co Krzystkowe serce pioletem truje. Niech się radują!...

Przesuwają się kęsy węgla i przesuwają, a każdy kęs omota na drobną chwilkę zimne spojrzenie

Krzystka. Jeżeli przesunie się ich dużo, dzisiaj i jutro, i pojutrze, i w ciągu miesiąca — to będzie dobrze.

Każdy wędrujący kęs węgla — to mała drobinka chleba, co głód uciszy, i mała drobinka uśmiechu, wydobyta ze skołatanego serca, i drobinka życia, godnego życia. Krzystek ubierze się w niedzielę bardzo pięknie i pójdzie do kościoła. Gdy przyjdzie kościelny, Funiok, i zabrzęknie mu pod nosem woreczkiem na długiej tyce, wrzuci mu do niego grosz. Pójdzie do domu i zobaczy skamlącego żebraka przy drodze, położy mu na dłoni drugi grosz. Kupi sobie gazetę, siądnie w cieniu pod płotem i przeczyta, co na świecie słyhać nowego. Potem kupi świecę za pięć groszy, zajdzie na cmentarz, świecę zapali i włoży do ziemi na grobie Leuska...

Przesunęła się bryła, a w bryle błyszcząca grudka złota!...

Wyciągnęły się dwie pary rąk, uchwyciły po-
spólnie.

— To piryt!... — zawołał głośno Krzystek, żeby Kozubowa usłyszała poprzez krzyk maszyn. Bryła węgla z pirytem powędrowała w dolinę wraz z innymi bryłami.

POD SORTOWNIĄ.

Pod czarną, rozdygotaną sortownią położyły się tory kolejowe. Błyszczały w czarnym pyłe jak ślady ogromnych ślimaków, co poczołgały się w świat. Na każdym torze czekały próżne wagony. Były rude, znaczone białym orłem lub napisem: „G ó r n y Ś ł ą s k“. Poza tym na ich ścianach pstrzyły się liczby i skróty jakichś niezrozumiałych wyrazów.

Robotnicy podsuwali je w obręb otworów, z których wychylały się tamte ruchome pomosty stalowe, wiodące przesortowany węgiel. Do każdego wagonu zsypywał się inny gatunek: miał, orzech, kostka, gruby...

Nadchodziła chwila, że wagon był już pełny. Wtedy czatujący pobok Pieter naciskał na sygnał, gdzieś w głębi sortowni zakrzyczał przenikliwy dzwonek, a przesuwany nad wagonem pomost uciął. Równocześnie nadchodził Wójcik z gwizdkiem w ustach. Stawał między buforami wagonu i gwizdał. Spomiędzy wagonów wynurzała się mała lokomotywa ze śmiesznym kominem, toczyła się szybko, zdyszana i sapiąca, zabierała wagon i wlokła go na wagę.

W czarnej budce siedział za stołem Kalabus. Na

grubym, czerwonym nosie miał okulary. W zębach trzymał krótką fajeczkę, w palcach ołówkę, a spoza okularów patrzył na poprzeczną sztabę znaczoną. Urbańczyk przesuwiał po niej ciężarkiem, utrafił równy poziom sztaby, wymawiał głośno cyfry, Kalabus zaś wpisywał je do kratkowanej księgi. Potem Urbańczyk nalepił na wagonie kartki z adresem, a zezowały Somerlik wylaził po drabinie na wagon, wynosił w konwi wapno i zaczynał nim skrapiać węgle w wagonie. Posługiwał się starą, zużytą miotłą brzoową.

— Czemu to robicie, Somerliku? — pytały się go dzieci, niosące w koszu obiad dla ojców.

— Czemu? Hy, hy, hy!... A to temu!... — odpowiadał.

-- No, to powiedzieć!...

-- Każdy dzień wam mówię, a wy się zawsze pytaście!...

-- Ale kiedy Karlik, co to idzie z nami, nie wie!

-- Tóż wam powiem. To temu, żeby węgle było znaczone.

-- A czemu się je znaczy?

-- Żeby tam wiedzieli, że się nie po drodze nie straciło.

-- Gdzie? Kto?...

— No, ci ludzie, co se taki wagon węgla kupili... A idźcie se już, a nie dopalujcie mnie, bo was oto tym wopnem pokropię i tyle będziecie mieli!... — i podnosił miotłę umaczną w wapnie.

Dzieci uciekały z piskiem, nieraz wywracały się na torze, a potem długo radowały się pospólnie, że

zezowaty Somerlik chciał je pokropić wapnem, ale nie pokropił.

— Jutro znowu się go zapytamy!... — umawiały się wracając do domu.

Somerlik lubić dzieci. Somerlik bardzo lubił dzieci. Może nawet bardziej, aniżeli swoje gołębie.

— Bo co gołębie?... — mawiał do sąsiadki swojej, starej Weberki. — Gołębie uciekną, gdy im coś do głowy strzeli, a dzieci nie uciekną. Zawsze ich wszędzie pełno. No ni!...

— Tak, tak, na świecie, na świecie!... — wzdychała stara Weberka, co jej wszystkie dzieci umarły na odrę.

— A gołębia to raz dwa żeżre kocur Kubienków... Oto mi znowu dwa garlocze zadusił, złodziej przemierzły... Jako więc prawiem! Gołębie raz dwa żeżre kocur Kubienków albo krogulec ukradnie, a dzieci nie!...

— Tak, tak, na świecie, na świecie! — wzdychała rzewnie stara Weberka, a myślała inaczej.

— Bo co do mnie, to już wolę dzieci, niż te gołębie. Gołębie też lubię, ale dzieci jeszcze bardziej!... Swoich nie mam, to przynajmniej te cudze lubię!... A`gdyby wasze żyły, Weberko, to bym je jeszcze bardziej lubił niż tamte!... Widzielibyście!...

— Tak, tak, na świecie, na świecie! — wzdychała Weberka i wycierała łzy z wyblakłych oczu.

W połowie szychty przyczłapała się na niskich kółkach dychawiczna lokomotywa i przywlokła na wagę nowy wagon, wypełniony po wierzch grubymi kęsami węgla.

— Somerliku!... Kropić!... — zawołał Urbańczyk.

Przyszedł Somerlik z wapnem i miotłą, przystawił drabinę, wydrapał się na wagon.

— Hy, hy, hy!... Piękne węgle!... — mruknął, kiedy ujrzał węgle w wagonie. Słońce było wysoko. Węgiel lśnił się w nim płaskimi łuskami, lyskał czarnym światłem, migotał. — Pojedzie węgliczek do świata, daleko pojedzie, daleko!... — myślał. — Węgliczek gdzieś pojedzie, ludzie go wysypią, odważą, do domu rozbiorą w workach i koszach, w piecu napalą, kapusty i kęs mięsa ugotują na blasze, zjedzą se i dobrze będzie!... Widzisz, węgliczku, jakiś ty jest potrzebny!... No, masz!... A masz!... A jeszcze!... — i machnął zawzięcie starą miotłą, unurzaną w wapnie, a z miotły pryskały duże krople i pstrokaciły bryły węgla.

— Hy, hy, hy!... — roześmiał się głośno znienacka.

— Cóż się tam śmiejecie? Czy wasze gołębie mają młode, czy co? — zawołał z dołu Urbańczyk, co kartki nalepiał na wagonie.

— Hale, gołębie... miłego tam Pana Boga!... Nie mają młodych, bo je mi znowu zeżarł Kubienków kocur...

— To cóż was tak cieszy? — nalegał zaciekawiony Urbańczyk.

— No, bo to jest tak!... Kiedy kropię ten węgiel wapnem, to mi tak się zdaje, że jestem księdzem proboszczem, co przed nabożeństwem idzie przez kościół i ludzi kropi święconą wodą... Ludzie potem są pokropieni święconą wodą, a te węgliczki też są pokropione jakby święconą wodą. No ni? I potem idą w daleki świat pokropione... No ni?...

— Eh, pleciecie!... — mrucał Urbańczyk i znowu nalepiał kartki.

Ostatni raz zanurzył Somerlik miotłę w wapnie i ostatni raz szczerze bryznął nim na lśniące bryły.

— No w porządku! — sapnął zadowolony. Schylił się po konewkę i wtedy dojrzał bryłę węgla z grudką pirytu.

— Kiz grzecha? Złoto czy co? — uradował się i podniósł bryłę.

Drobina pirytu lyskała w słońcu jak prawdziwe złoto.

— Urbańczyku!... Urbańczyku!... — zawołał.

— Co jest?... A złaćcie już z wagonu, bo nadjeżdża Gatnar z maszyną!

— Złoto znalazłem w węglu!

— Eh!... Nie plećcie, ni!...

— Ale naprawdę!...

— No, to pokażcie!...

Somerlik zrzucił bryłę, zeszedł po drabinie i uradował się, kiedy ujrzał, że nie wierzący Urbańczyk trzyma ją w dłoniach i patrzy na tamto złoto pod słońce. Nadjechał Gatnar z lokomotywką, zatrzymał ją przed wagonem, podszedł do nich. Przyszedł także Pieter, a za nim Kalabus.

— Cóż to macie? — zapytał.

— Diasi wiedzą!... Złoto, czy kigo grzecha? — wyjaśnił Urbańczyk.

— Ech, chyba nie!...

Kalabus poprawił okulary na nosie, pyknął mocno z fajki, wziął w dłonie bryłę węgla, poskrobał paznokciem po pirycie.

— Hale, złoto!... Takim złotem za psami rzu-

cają!... Zwykły piryt, a nie więcej!... W książkach nazywa się to iskrzyk, a to jest związek siarki z jakimś metalem!... Rozumieliście? — rzekł z przechwałą i spojrzął spoza okularów na ludzi.

Każdy głową kiwnął na znak, że rozumiał, lecz u każdego został leciuchny żal, że to jakiś piryt, a nie złoto.

— No, a chwytajcie się roboty, bo nie zarobimy ani na słoń wodę!... — zakończył Kalabus zebranie i potoczył się do swej czarnej budy.

Somerlik obejrzał się, czy nie ma gdzie dzieci w pobliżu. Wylupie palcem ów zwodniczy piryt i da dzieciom. Niechby się radowały!... Dzieci nie było. Wyrzucił więc bryłę węgla na wagon.

— Niech se jedzie w świat! — pomyślał. — A dokąd ten wagon pojedzie? — zapytał Urbańczyka.

— Hale, aż do Gdyni, nad polskie morze!...

— No, to się przejedzie!... — mruknął zadowolony i usunął się, bo lokomotywa krzyczała, żeby zszedł z toru.

W DRODZE

Lokomotywa Gatnara była śmieszna. Kiedy biegła po torze, była podobna do czarnej kaczki, co ucieka z wrzaskiem przed urojonym strachem. Ludzie nie mieli jej w poszanowaniu.

— Phi!... Taka maszyna!... wrzeszczy to, goni jak opętane, dymi jak dziurawa fajka, dyszy jak starą kobyłą, a kiedy ma ciągnąć wagony, to stoi na miejscu, tylko tymi zwariowanymi kołami ślizga się po szynach, a hałas robi, że ją na całą kopalnię słycać!... Głupia maszyna!...

Maszynista Gatnar i palacz Wrzecionko żywili jednakże dla niej szacunek.

— Co chcecie!... — mawiał Gatnar —. Maszyna nie jest silna. Maszyna przecież jest mała. A co może, to robi. Ciągnie mało... no trudno. Wy byście także więcej nie uciągnęli... Ale, co mówię!... Gdyby tu was z dziesięciu chłopów oparło się o wagon, to nie potrafilibyście tak biec z nim, jak moja maszyna. Ona zaś potrafi!... Porządno maszyna, nic nie mówcie!... — i głaskał ją po pękatym kadłubie. Maszyna zaś wtedy mruzczała jak prawdziwy żywy kot, kiedy go głaskać miękką dłonią po grzbiecie.

— Ale kiedy z niej taki wrzaszczek!... Drze się to plugastwo jak oparzone!... — dogadywał Urbańczyk.

— A czy wy nie wrzeszczycie, gdy jedziecie na rowerze po drodze, a dzieci nie chcą zejść do rowu? Maszynista Gatnar i palacz Wrzecionko nie pozwalali powiedzieć krzywego słowa na lokomotywę.

— Tylko tyle — martwił się czasami Wrzecionko — że maszyna jest wiecznie głodna. Zećpie tego węgla, a zećpie, że niesposób ją zaspokoić. Człowiek musi wciąż sypać jej węgle do gardła!...

— Głupis, a ty byś nie zećpoł, gdyby tak tobie przyszło mordować się przez całą szychtę z tyłu wagonami?... Miech ziemniaków zjadłbyś i konia całego, a cóż dopiero maszyna, co!...

Pomimo utyskiwań robotników na lokomotywę z powodu jej krzykliwości — radzi jej byli, bo można było z jej pomocą jednak coś zarobić. Przetaczała wagony przez cały dzień, a każdy wagon — to część zarobku. Im więcej wagonów z węglem przesunięto na główny tor, tym większa radość była u wszystkich. Będzie można bowiem kupić bochny chleba, mięsa, ziemniaków, mleka, można będzie dzieci w domu przyodziać, w niedzielę wyjechać daleko poza dymy, w pachnące lasy świerkowe, kupić gazetę, a jeżeli Bóg zdarzy — jakiś grosz będzie można odłożyć, chociażby na tę godzinę, w której bezrobocie nawiedzi ludzi, gdy kopalnie przestaną dymić, a maszyny zaczną rdzewieć, wróble i jaskółki uwiją gniazda między szprychami czarnych, obumarłych kół.

— Poniektóre kopalnie już zamknięte — mawiali wszyscy — ale kopalnia nasza jeszcze żyje! — i rado-

wali się pospólnie, i podświadomie błogosławili maszynom i każdej bryle węgla.

Lokomotywa pracowała zawzięcie. Ganiała przez cały dzień, od wczesnego rana aż do popołudnia, ciągnęła uparcie wagony, sapiała z wysiłku, zapierała się kołami o wyświechtane szyny, wagony zaś dudniły i klekotały zderzakami lub dzwoniły łańcuchami. Wszędzie jej było pełno.

Przyszedł jednak dzień, w którym zaniemogła.

Na torze czekało już 35 wagonów. Kartki z adresami były nalepione, węgiel skropiony szczodrze wapnem. Czekwały teraz na Gatnarową lokomotywę. Lokomotywa nadjechała, trąciła zderzakami o zderzaki pierwszego wagonu, Wójcik z gwizdkiem spiął ją z pociągiem i gwizdnął.

— Wio! wózek!... — zawołał jeszcze.

Gatnar szarpnęła za skobel, maszyna wierzgła kołami, również mocno szarpnęła i stało się nieszczęście. Coś pękło we wnętrzościach maszyny, coś w niej jęknęło przeciągle, zachrobotło i nastąpiła cisza. Para tylko jęła syczeć i wywalać się gęstą strugą spod kół.

— Maszyna umiero! — rzekł jeszcze Pieter i zaczął się martwić ze wszystkimi, co otoczyli lokomotywę.

Kalabus zatelefonował do dyrekcji kopalni, zameldował o śmierci maszyny, dyrekcja zaś zatelefonowała na dworzec i niezadługo przytoczyła się wspomniała, wielka, błyszcząca i paradna lokomotywa, taka prawdziwa lokomotywa, zbudowana w Chrzanowie. Koła jej były duże, jak na wieży szybowej, kocioł długi i obszerny, wylakierowany i dzwoniący parą, a na czole sterczał krótki kominek, wy-

tworny i elegancki. Z przodu zaś, na piersi, łykały dwie duże latarnie, wyczyszczone i wysrebrzone, że aż oczy bolały, kiedy w nie patrzeć.

Tryknęła umarłą lokomotywkę Gatnarową, chwyciła łańcuchem i powlokła za sobą jak ogromny gąsior maluchne, nieopierzone gąsiątko. Zepchnęła ją na boczny tor, fukła na nią z pogardą, gwizdnęła z lekceważeniem i potoczyła się wspaniale do wagonów.

Ludzie patrzyli na nią w podziw.

A kiedy Wójcik gwizdnął przeciągle, dziwili się jeszcze mocniej, gdy dumna lokomotywa lekko tylko prychnęła, lekko się podsadziła kołami i długi szereg wagonów drgnął gwałtownie i pobiegł w dyrdy za nią.

— Farona, to jest, ale jest maszyna!... — cmoknął z zachwytu Pieter.

--- Nie tako, jak tamto nasze kozidło! — dodał Wójcik wskazując na Gatnarową lokomotywę.

Pociąg przeleciał z łoskotem koło ludzi, rozdzwoił kołami i utonął w ciemnym lesie. Wszyscy ludzie mieli jeszcze w oczach jego widok, pełen ogromnej siły i pędu. Czuli się ogromnie mali.

— No, pojechał w świat! — rzekł jeszcze Somerlik i każdy poszedł oglądać lokomotywę Gatnara.

A przez las grzmiały wagony i śpieszyły za dumną lokomotywą, z lekka prychnającą. Na końcu kolebał się wagon z grudką pirytu.

Na stacji wyszedł z biura pan zawiadowca z czerwoną rogatywką na głowie. Patrzył na zbliżający się pociąg i w myślach zliczał tonny węgla, które pociągnie następna lokomotywa w kierunku morza.

— Panie Zaremba, więc jeszcze 24 wagony z kopalni Jadwigi przetoczyć na siódmy tor, a o godzinie

dwudziestej pierwszej dwadzieścia jazda!... — rzekł do pana Zaremby, co jeździł stale w wozie służbowym jako kierownik pociągu.

— Robi się, panie zawiadowco! — rzekł pan Zaremba i otarł dłonią ryżę wąsiska.

Punktualnie o godzinie dwudziestej pierwszej minut dwadzieścia było wszystko przygotowane. Zwrotnice nastawione, semafony wskazywały wolny przejazd, wagony pospinane, na przedzie dymiła i bzykała parą ogromną lokomotywa, łypiąca wielkimi światłami nad zderzakami, na lokomotywie patrzył na manometr pan Jurzyk, a palacz Walica dolewał oliwy na panewki i zwiłkiem konopi obcierał błyszczące suwaki, na ostatnim wagonie chwiała się już czerwona latarnia, a drużyna pociągowa stała obok wagonów i czekała na sygnał.

Wyszedł z biura pan zawiadowca, a za nim Hibner z latarnią.

— No, jazda!... — rzekł pan zawiadowca patrząc na zegarek.

Hibner podniósł wysoko latarnię, kiwnął nią, a wtedy lokomotywa gwizdnęła przeciągle, potem jakoby nabrała pary w płuca, szeroko i głęboko, wyrzuciła ją z komina, a równocześnie drgnęła, szarpnęła wagony, wagony zaś zadzwoniły i ruszyły. Pociąg jechał. Najpierw powoli, potem szybciej, potem jeszcze szybciej, a następnie już gnał za spiętrzonym zgiełkiem, na przodzie zaś lokomotywa dyszała w mrokach, przebiegała skrzyżowania torów, grzmiała i dudniła.

Koło pana zawiadowcy leciały w świetle łukowej lampy rude ściany wagonów, czasem mignęła wytrzeszczona latarnia konduktora, potem znów przelaty-

wały rude ściany, a kiedy już cały pociąg minął, pan zawiadowca i Hibner patrzyli za czerwoną latarnią na ostatnim wgonie. Latarnia chwiała się w ciemnej nocy.

— No, z Bogiem jedźcie!... — rzekł do jej światełka Hibner i poszedł za panem zawiadowcą do biura.

Przed pociągiem stała teraz otworem ogromnie daleka droga.

Pociąg przebiegał ciemne lasy, płoszył ptaki i zające, drzemiące w krzakach, szczekał w ciszy nocnej, ślepił przed siebie ostrymi smugami światła, raz po raz gwizdał i gnał na złamanie kół.

Spocony palacz otwierał coraz drzwiczki kotła i wrzucał w szalejące ognisko kopiaste łopaty węgla. Wtedy rozwleczony nad pociągiem dym i para czerwieniły się w blasku ognia, że stawały się podobne do zwijanych, skłębionych płomieni. Maszynista zaś wychylał głowę z okienka i patrzył pilnie w mroki nocy. Wypatrywał w nich znajomych znaków. Były to znaki świetliste, czerwone i zielone, raz takie, potem zaś owakie. Wisiały wysoko nad torem i mówiły maszyniście o wszystkim, co na drodze się znajduje. Przejazd zamknięty, nastawiona zwrotnica, wolny tor...

Czasem mrugały na niego, że może jechać swobodnie, czasem wołały, żeby zwolnił pęd maszyny, czasem zakrzyżowały mu drogę. A wtedy lokomotywa krzyczała przeciągle, zawodziła piskliwie, hamulce zgrzytały, zderzaki dzwoniły wielokrotnym rytnem, pociąg stawał w polu wśród ciemnej nocy mając zagrożoną drogę czerwonym światłem nad torem.

Potem czerwone światło gasło, a pociąg zabierał się z westchnieniem do biegu. I znowu gnał przed siebie na oślep. Drobne, maleńkie stacyjki pełniły przy-

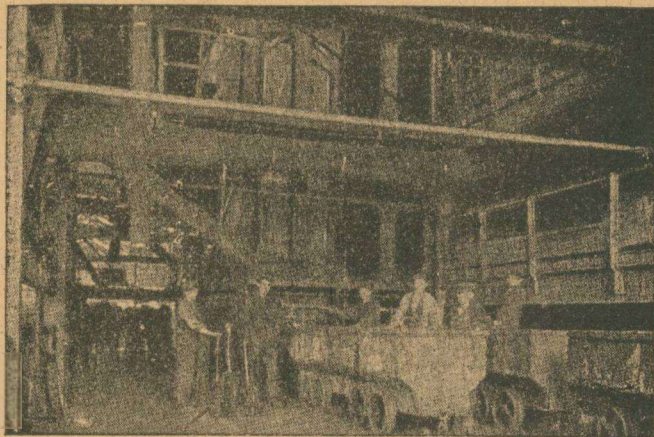
émionymi światełkami i drzemały przy torach, a na większych stacjach wybiegali kolejarze z latarniami, machali nimi, a pociąg zajeżdżał powoli pod wodociąg i chleptał łakomie zimną, młaszczącą wodę.

A kiedy wypoczął, kiedy odsapnął sobie do woli i nasycił szczodrze wodą, znów zrywał się do biegu. Drużyna pociągowa stała na platformach przy hamulcach i patrzyła w noc. W służbowym wagonie czuwał kierownik pociągu Zaremba. Na stole dygotała latarnia, a w jej świetle wytężały się znużone oczy i zliczały długie kolumny cyfr. Ołówek skakał po papierze, kreślił nieforemne liczby, oczy zaś ogarniało znużenie i słodki bezwład zamykał powieki. Wówczas Zaremba gładził rude wąsiska, ruszał nimi groźnie i wychylał głowę z okna, by się cucić rześwym, pachnącym powietrzem.

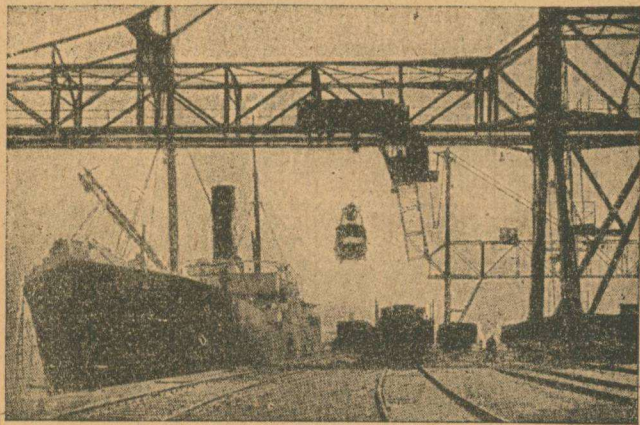
Godziny mijały.

Czasem koło pociągu przewalił się z ogromnym krzykiem jakiś pociąg pośpieszny. Gnał on z przeciwnej strony, od morza. Koło oczu przelatywały jaszkrawe kwadraty oświetlonych okien, a w ich ramach migały senne wnętrza wagonów. Na krótki ułamek sekundy można było w nich dojrzeć ludzi. Spali oparci na ścianach i ramach okiennych, z głowami wspartymi na dłoniach i ramionach.

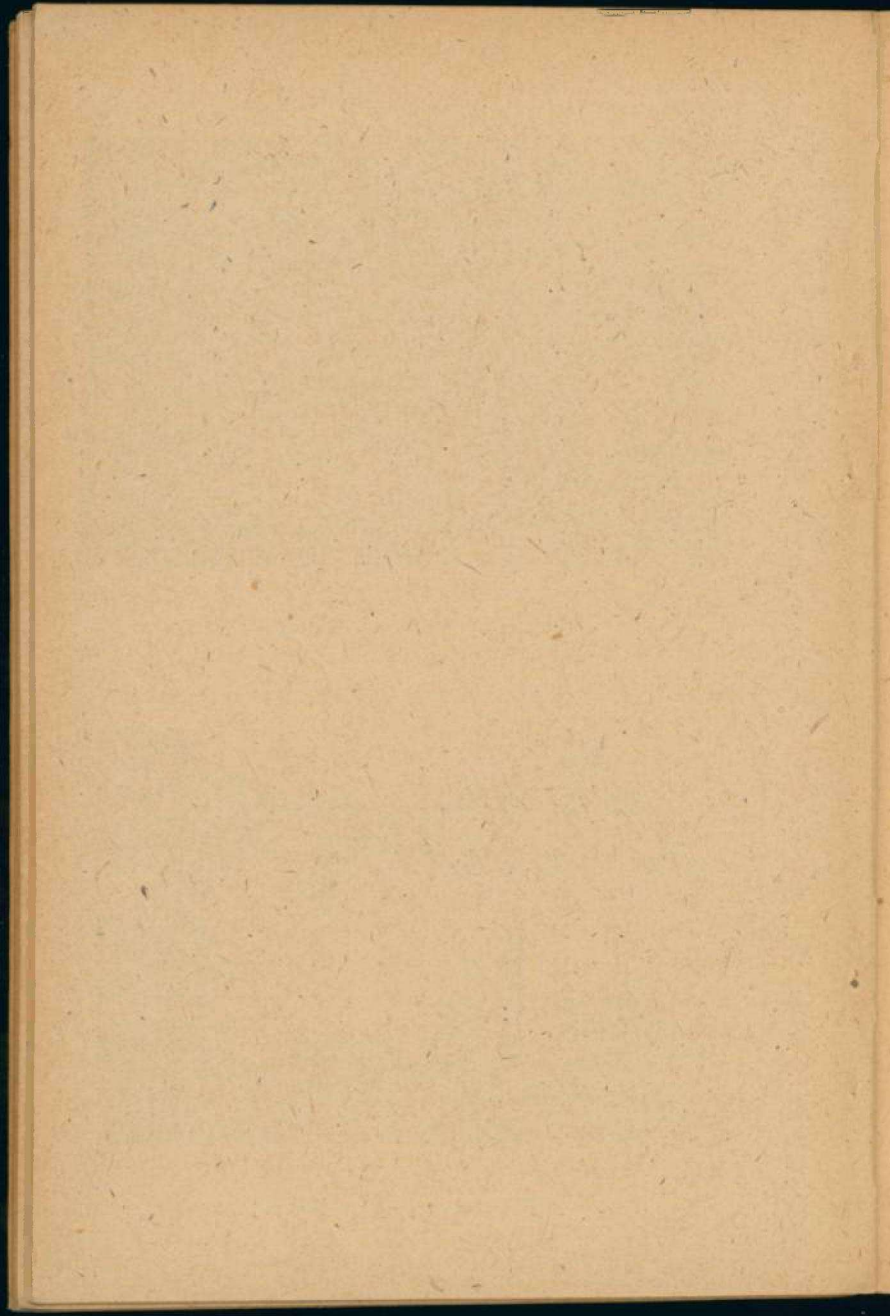
Maszynista i palacz słuchali bezwiednie rytmu maszyny. Patrzyli równocześnie na manometry i wodowskazy, oświetlone skąpym światłem. Potem wytrzeszczali oczy w mroki nocne i wystawiali spocone twarze na zimny wicher, co z wyciem ocierał się o rozpedzoną lokomotywę. Liczyli przebyte kilometry na wymyślnym zegarze, śledzili ruchome słupki wody



Wózki w kopalni „Kleofas“



Załadunek węgla w Gdyni



w wodowskazach, kładli dłonie na stery i wyczuwali z ulgą drgające życie maszyny, czasem wychylali się mocno poza parapet i zmrużonymi oczyma szukali w nocy spodziewanych sygnałów świetlnych.

Maszyna chrapała i sadziła przez gęstą noc jak ogromny potwór zerwany z uwięzi.

Przyszła chwila, że niebo jęło się wreszcie rozwi-
dniać, noc rzedniała stopniowo, a na wschodnim
krańcu ziemi rozlewało się powoli nikłe światło ju-
trzeńki. Potem noc całkiem się rozwiała, na niebo zaś
wytaczało się ogromne słońce.

Godziny mijały.

Zmieniały się lokomotywy, zmieniały drużyny po-
ciągowe i maszyniści z palaczami, a pociąg wciąż zdą-
żał na północ. A godziny wciąż mijały, wraz z nimi
słońce wędrowało po niebie, przelatywały burze, zry-
wały się wichry lub spadała ogromna cisza, potem za-
padały noce, a w nocy wyblyskiwały pojedyncze świa-
tła sygnałów lub ogromne grzędy światła elektrycz-
nych. Pociąg zwalniał, to znowu zrywał się, przysta-
wał ze znużoną lokomotywą na rozstajnych stacjach,
przepuszczał koło siebie długie pociągi, wracające
z Gdyni z rudą, czasem przemykały koło niego wy-
tworne kuriery, błyszczące, wylakierowane, szybkie
i migotliwe, czasem przebiegały pociągi osobowe, cza-
sami lokomotywa chleptała znowu wodę, czasami sta-
wała w szczerym polu przed semaforem, gwizdała prze-
rażliwie i domagała się wolnej drogi.

Mijały dni i noce.

Zgrzytały hamulce, piszczały koła, szyny, wystu-
kiwały monotonny rytm, stokrotny grzmot kłębił się,
przepadały w dalekościach wsi i miasta, ciche stacyjki

i gwarne dworce. Rudy, 59-wagonowy pociąg przemierzał nieobeszle równiny, zanurzał się w pachnących i rozszumianych lasach, dudnił na żelaznych mostach, klekotał na zwrotnicach, przechylał się na krzywiznach, lokomotywa zaś krzyczała na ludzi i wozy, ostrzegała z daleka, by się jej usuwano z drogi na przejazdach, chrapała z wysiłku, a w końcu włączała się uznojona na rojny dworzec.

Pozostały już daleko Herby Nowe, Zduńska Wola, Rąbinek, Inowrocław, Wierzchucin, przejechano już Szlachtę i Kościerzynę, docierano do Somonina.

Pociąg już był w drodze trzy noce i cztery dni.

Za Somoninem, kiedy już słońce utonęło w czarnych lasach kaszubskich na widnokręgu, powiał z północy wiatr, a wraz z nim przyleciał zapach polskiego morza. Zapach był chłodny, wilgotny, przesycony czadem ogromnej wody. Po ciemniejącym niebie wlokły się ciężko obwisłe chmurzyska, napęczniałe deszczem i mrokiem.

Ósma z rzędu lokomotywa i dziewięta z rzędu druzyna pociągowa i parowozowa prowadziły pociąg z węglem śląskim nad polskie morze.

Kierownik pociągu, Sobiszczak, wyliczył na zegarku i w kratkowanym zeszycie, kiedy przejedzie Osowę, Kack Wielki i dotrze do portu gdyńskiego. Nazajutrz koło godziny dziesiątej wprowadzi swój pociąg na molo portowe. Odda papiery, przejdzie ze swymi drużynami na inny pociąg, co o godzinie 11 minut 24 wyjedzie z portu, i powróci zmęczony i niewyspany do Kościerzyny.

W Kościerzynie na przedmieściu stoi mały domek z czerwonej cegły, a w domku jego Mikołajek z Har

niczka będą patrzyli przez okno na ulicę. A gdy zobaczą ojca, plasną w dłonie i wybiegną naprzeciwko. Mikołajek będzie się trzymał sukienki starszej od siebie Haniczki. Haniczka ma niebieskie oczy i jasne włosy. Na drugi rok pójdzie do szkoły. Mikołajek zaś o ciemnych oczach...

...Zgrzytnęły zniecka hamulce, szarpnęło gwałtownie wagonem, że Sobiszczak zatoczył się pod ścianę, a równocześnie ponad zgiełk pociągu wytrysnął przeraźliwy gwizd lokomotywy.

Skoczył Sobiszczak do otwartych drzwi, wychylił się.

W zapadającym mroku dojrzał czerwone światło nad torem, przed lokomotywą zaś czerwone koła świetliste, kreślone latarnią. Pociąg zwalniał, zahamowane koła piszczały.

— Katastrofa! — przemknęło przez myśl.

Wyskoczył na tor, pobiegł do lokomotywy.

— Panie kierowniku!... — meldował maszynista — semafor w ostatniej chwili wystawił: Stój! Tor zajęty!

— Panie kierowniku! — meldował zdyszany zwrotniczy, co się wynurzył z latarnią z mroków. — Tor zatarasowany!... Pośpieszny 354 wykoleił się... ostatni wagon wywrócony!...

— No, byłby karambol! — westchnął z ulgą Sobiszczak. Zrozumiał bowiem, że gdyby nie czujność maszynisty i palacza na lokomotywie, którzy dostrzegli w ostatniej chwili podnoszone ramię semafora, jego pociąg najechałby na tamten wykolejony.

Dwie godziny minęło, zanim usunięto wywrócony wagon. Pięć osób było lekko rannych.

— No, Bogu dzięki! — powtarzał w duchu Sobiszczak i myślał wciąż o swoich dzieciach, co go w domu czekają.

Nad ranem minęli Osowę, potem Kack Wielki, Słońce wynosiło się już wysoko na niebo.

Sobiszczak stał na platformie i patrzył jak za dyszącą lokomotywą wlecze się długi różaniec rudych wagonów z błyszczącym węglem. Czarne bryły łykały w słonecznym świetle. Naokoło była cisza. Nawet wiatr ucichł. W pewnym miejscu odstąpił się widok na morze. Wtedy zdawało się Sobiszczakowi, że widzi ogromną, siwą równinę, podnoszącą się lekko pod niebo, zatopioną na widnokręgu w fioletowej mgłę. Miejscami biegły po niej drobniuchne, białe grzywy, zbliżające się powoli do brzegu. Nad nimi niosły się białe stada mew. Zataczały koła, spadały na tamte grzywy i znów zrywały się pod niebo. Gdzieś tam tkwił w tamtej ogromnej płaszczyźnie nieruchomy, ciemny punkcik z rozwianym warkoczem czarnego dymu.

Sobiszczak poznał znajomy sobie widok. Morze przed nim, polskie morze, ogromne, dalekie, a na nim okręty dymiące. Płyną z dalekich światów, podobne tym plakom, co lecą pod niebem, nie wiedzieć skąd i dokąd.

Lokomotywa zdawała się raźniej prychać, koła zdawały się żwawiej klekotać i wydzwaniać swój metaliczny rytm, a Sobiszczakowe serce rozgorzało dziwną radością.

— Morze!... nasze morze!... — szeptał do siebie i znów myślał o Mikołaju i Haniczce, co go w domu czekają. Musi im gościć z drogi przywieźć. Jakaś

muszlę cudaczną, wyszachrowaną od cudzoziemskiego marynarza, grudkę bursztynu, którą może znajdzie na przybrzeżnym piachu, może ptaka zamorskiego o tęczy-
wych kolorach, kupionego od bełkotliwego kapitana na obcym okręcie.

Wyszedł po stopniach na dach swojego wagonu i znów obleciał spojrzeniem pociąg. Dojrzał z wysoka węgle. A wtedy zdawało mu się, że to nie pociąg leci po szynach, lecz jakieś żywe stworzenie, które bez przerwy a radośnie powtarza: — Węgle wieziem... węgle wieziem...

— Węgle wieziem!... — jął powtarzać w myślach za tamtym klekotem. — Węgle... węgle... czarne węgle... nasze węgle... śląskie węgle... węgle::: węgle... — skandowały do wtóru koła pociągu.

— Chwała ci też, Panie Boże!... Chwała ci też, Panie Boże!... — rzekł już teraz głośno i zeszedł z platformy, bo dojrzał z daleka dym okrętów zajeżdżających do portu gdyńskiego.

W PORCIE GDYŃSKIM.

Po godzinie dwunastej wtoczył się pociąg na molo gdyńskie.

Odczepiona lokomotywa pojechała na stację, a wraz z nią drużyny Sobiszczakowe. Po molu uwiłała się mała lokomotywka. Podbiegała do okrętów, prychała parą i czarnym dymem, przemykała się pod wyniosłymi dźwigami i żurawiami, dźwigi zaś i żurawie, podobne do nieforemnych wież uplecionych ze stalowych sztab, kiwały swoimi ramionami, przechylały się, posuwały ciężko, skrzypiały łańcuchami, stękały pod unoszonym ciężarem.

Przyszła kolej na pociąg ze śląskim węglem.

Lokomotywka czepiała się pojedynczych wagonów, wlokła je na skraj mola, podsuwała pod stromą ścianę zamorusanego okrętu, co bokiem oparł się o breg. Okręt był zakurzony, czarny, z lekka kopający z komina, podobny do robotnika, co w czasie pracy spoczął sobie na drobnią chwilkę, oparł się bokiem o ścianę i od niechcienia pyka fajkę. Na metalowym kadłubie błyszczał złocony napis: „King of England“. Naokoło bulgotała ciemna woda, pieniała

się, lizała ściany okrętów i mola, na pokładzie zaś uwijali się marynarze, hałkający w niezrozumiałym zamorskim języku.

Pobok stało kilka innych okrętów, również zamorusanych i zakurzonych jak „King of England“. W głębi portu uwijały się szybkie motorówki, buczały grubym basem nadpływające nowe okręty, kłęby czarnego dymu przewalały się nad rozbełtaną wodą, a ze wszystkich stron leciał krzyk maszyn, łoskot i skrzypienie dźwigów, nawoływania ludzkie w przeróżnych językach i przenikliwe świsty lokomotyw, wałęsających się po groblach i między dźwigami.

Potężny dźwig portowy, ostatni z rzędu, potoczył się na małych kołach do wagonu, na którym między bryłami węgla łuszczył się złotem drobny piryt. Zaterkotały zębate koła, zabrzęczały łańcuchy, zastękały stalowe wiązania. Maszynista Hansen, czający się za sterami na szczycie dźwigu, czekał teraz na sygnał. Patrzył z góry na uwijających się ludzi. Wydawali mu się podobni do czarnych mrówek. Ludzie kręcili się koło pomostu, na którym stał wagon z węglem i grudką pirytu.

Wyleciał do niego gardłowy krzyk sygnału, Hansen szarpnął za skoble, dźwig zadygotał, rozterkotał zębatymi kołami, a równocześnie wiązania dźwigu zastękały, liny i łańcuchy naprężyły się do ostatnich granic, pomost z wagonem jął się powoli unosić. Hansen patrzył na swoją maszynę a równocześnie śledził podnoszony wagon. W nieoczekiwanej chwili spostrzegł tamtą bryłę węgla z grudką pirytu. Lśniła w słońcu czystym złotem.

— Złoto albo co?... — przemknęło mu przez myśl. Uśmiechnął się jednak do siebie, bo wiedział, że to nie złoto, lecz jakiś nieznyany mu minerał bez wartości.

— Węgiel to jest złoto... — pomyślał.

A kiedy wagon z pomostem osiągnęły już potrzebną wysokość, poprawił poprzednią myśl:

— Węgiel — to jest chleb!...

Umilkło terkotanie jedno, rozległo się drugie, słabsze. A równocześnie pomost zaczął się wykręcać i kołysząc się lekko unosić w kierunku „King of England“. Hansen uważał pilnie, by zatrzymać pomost z wagonem nad czarnym otworem w pokładzie okrętu. Otwór był wielki, kwadratowy, a z jego głębi niosły się leniwie ciężkie kłęby węglowego pyłu. Pobok zaś stali marynarze i dawali znaki Hansenowi. Krzyczeli na niego gardłowymi słowy.

Teraz pomost zawisnął nad okrętem. Teraz zaczyna się opuszczać. Lekko, wdzięcznie, nieznacznie. Stał wcióż kołysząc się na wyprężonych linach. Znowu krzyknęli marynarze z pokładu. Pomost nachyla się czołem, nachyla... nachyla... Wagon z węglem, ujęty w potężne ramy poprzeczne, dygoce ze strachu, że spadnie na pokład. Pomost wciąż się nachyla. Już!...

Rozkłębił się suchy grzmot, kęsy węgla zsuwają się z wagonu, lecą czarną chmurą w czarny otwór okrętu. Zciemniło się słońce chmurą wzbitego pyłu. Zniknęli w nim ludzie i przechylony pomost z wagonem. Przez chwilę huczy jeszcze i grzechoce lawina węgla, potem wszystko ucicha, tylko lekkie terkotanie dźwigu wyływa z chmury pyłu.

Przyleciał wilgotny wicher, roztrącił pył, rozwiął na morze.

Dźwig odwrócił się z próżnym wagonem, teraz opuszcza go lekko, stawia na molo. Z drugiej strony leci lokomotywa i gwiżdże z uciechy, że powlecze próżny wagon na boczny tor.

Hansen spojrział jeszcze raz w głębię okrętu. Pył rzedniał, a wtedy zdawało mu się, że w jego jądrze, na dnie otworu pokładowego, dostrzega błyszczącą grudkę nieznanego minerału.

— Ach, to z pewnością piryt! — przypomniał sobie i już nie myślał o nim, bo nowy wagon czekał u stóp dźwigu pod okrętem.

Kierownik pociągu Sobiszczak wracał do Kościerzyny dopiero wieczorem. Teraz był kierownikiem pociągu, wiozącego szwedzką rudę żelazną. Rudę wyładowano z okrętu „Haakon“ do wagonów górnośląskich.

Kiedy mijał odcinek Kacka Wielkiego, stanął znowu we drzwiach i spojrzął na morze. Słońce staczało się już za dalekie lasy. Morze błyskało w jego świetle srebrną polewą. Łuszczyło się w drobne, pianiste bruzdy, a stada mew krążyły koliskami nad wodą. Morze było opustoszałe. Z prawej strony bieleły się tylko żagle wdzięcznego jachtu, z lewej zaś widać było ciężki, przysadzisty okręt, wlokący się na północny zachód. Ciągnął za sobą opasłe, czarne, smoliste zwoje dymu.

— To okręt, wiozący nasze węgle do świata!... —
pomyślał Sobiszczak i uśmiechnął się nieznacznie.

Pociąg huczał w przedwieczornej, słonecznej ci-
szy i powtarzał rytmicznie:

- Nasz... węgiel... jedzie... w świat... jedzie
w świat... w świat... w świat!...

K O N I E C

SŁOWNICZEK DO „DZIEJÓW WĘGLA“

Filar: W grubych pokładach wybiera się węgiel t. zw. filarami. Pokład taki przecina się szeregiem ganków wzdłuż i wpoprzek, a jeden odcinek pokładu, ujęty z czterech stron gankami, nazywa się filarem. Po wybraniu filaru pozostaje pusta komora, zwana „starą robotą“, albo „wyrobiskiem“. Komorę tę wypełnia się rumowiskiem albo płynnym szlamem pod strop czyli powałę, żeby zapobiec jej oberwaniu się.

Wiertarka: Maszyna, poruszana prądem elektrycznym albo zgęszczonym powietrzem. Używa się jej do wiercenia otworów w węglu, do których zakłada się następnie ładunki dynamitowe, rozrywające caliznę węglową.

Odciepnąć: W narzęczu śląskim tyle co odrzucić.

Szychta: Zmiana czyli dniówka. Określona ilość godzin pracy nazywa się u górnika szychtą.

Calizna: Odslonięta warstwa węgla lub piaskowca w kopalni.

Spong: Powierzchnia tej warstwy piaskowca, na której spoczywa pokład węgla.

Gospoda: Miejsce, gdzie ładuje się ukopany węgiel do wagoników w kopalni.

Piryt: W węglu znajduje się często piryt. Jest to minerał, będący związkiem siarki z metalami. Nosi także nazwę i s k r z y k. Krystalizuje się w kształcie złotych grudek,

Chodnik wiatrowy: W kopalni niektóre ganki służą do przewietrzania i odprowadzania zużytego powietrza do szybu wiatrowego.

Farona: Jest to zwykle porzekadło górnika, używane zamiast zbyt szerokiego wyrażenia: „pieron“.

Kozidło: Rozklekotany grat.

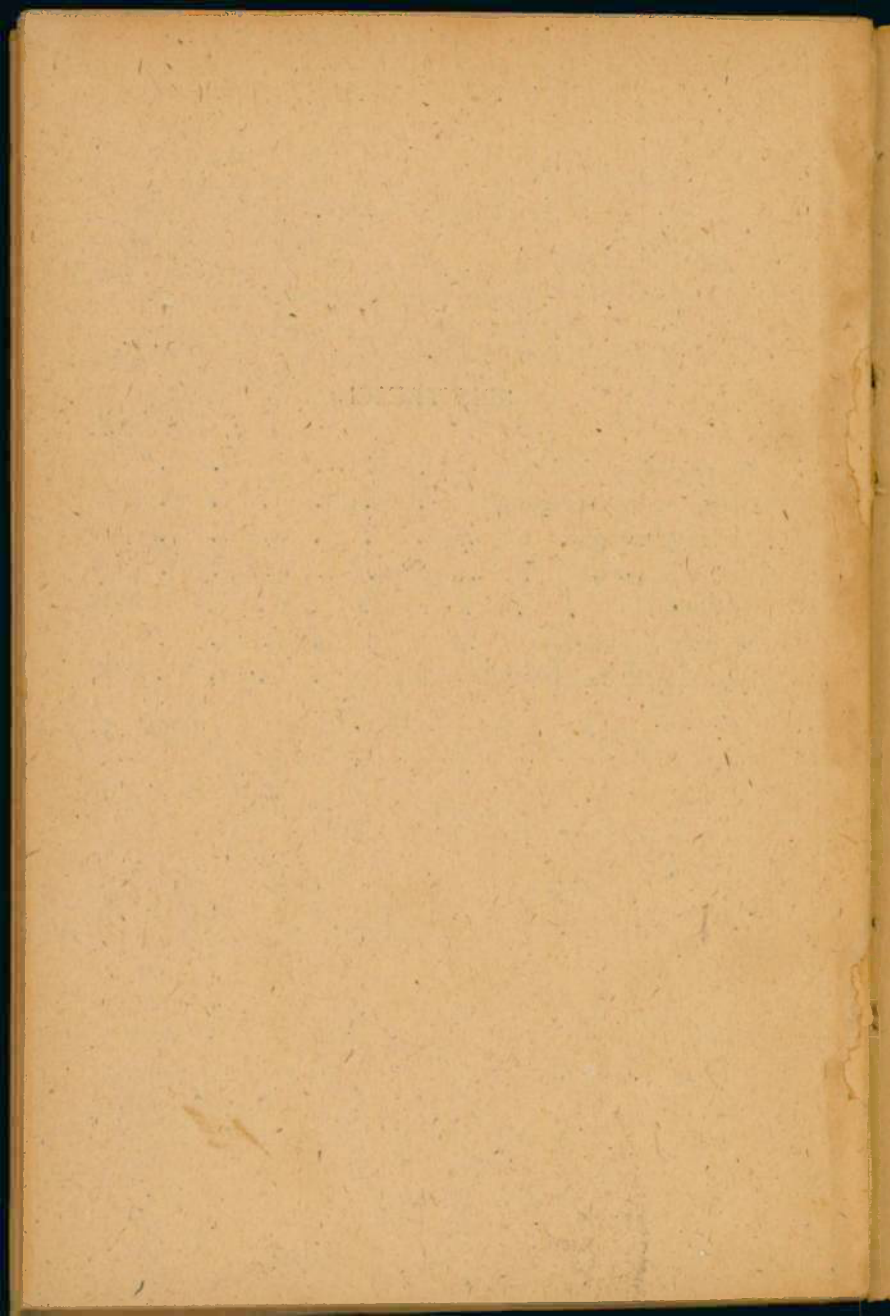
Skandować: Mówić albo czytać wiersze rytmicznie, uwydatniając głosem podział na długie i krótkie zgłoski: uwydatniać przy wygłaszaniu rytm jakiś.

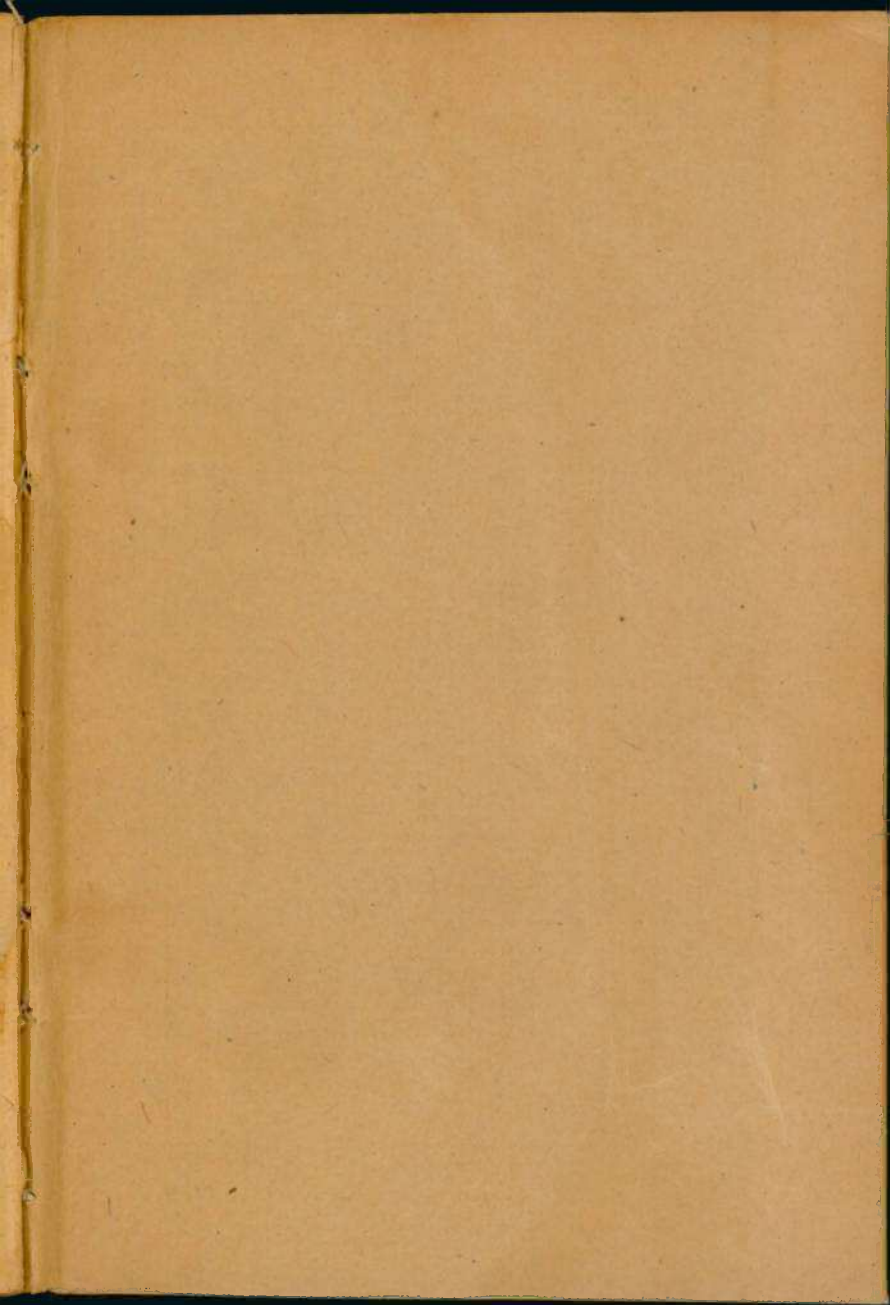
King of England: Tu nazwa okrętu, znaczy tyle co Król Anglii, Król angielski.



SPIS TREŚCI:

	Str.
W pokładzie Jacka	5
Droga na powierzchnię	19
Zawzięte maszyny	29
Pod sortownią	36
W drodze	42
W porcie gdyńskim	56
Słowniczek do „Dziejów węgla“	61





Biblioteka Główna AP w Siedlcach
nr inw.: KG - 557



557